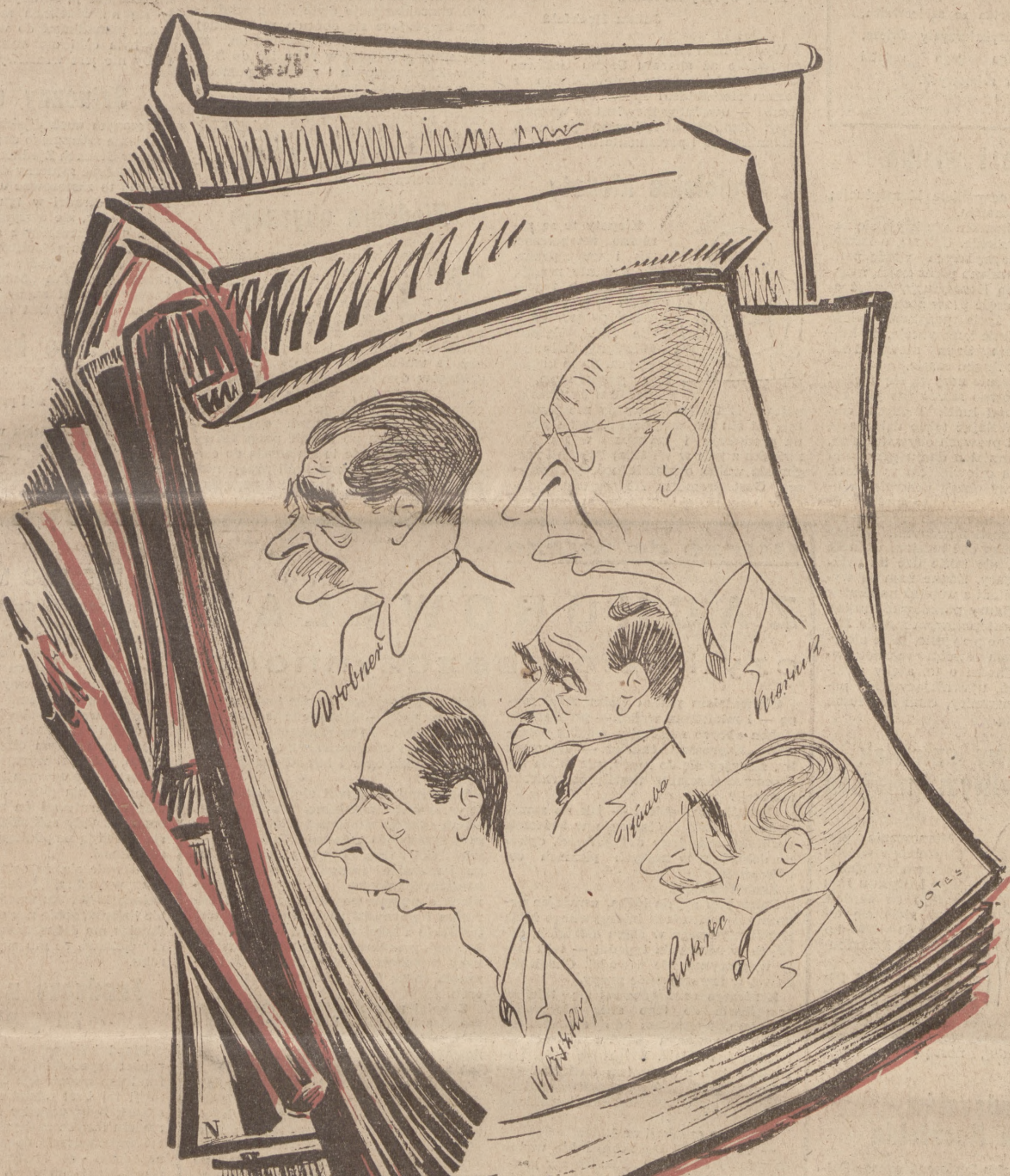
TYDZIEŃ

Nr 9 (33) ROK II

2. III. 1947

CENA 12 ZŁ



DZIŚ: Z pamiętników hr. Ciano

(Rewelacja z II-go tomu wspomnień zięcia Mussoliniego)

tak i nie

NASZA OKŁADKA



— To kartka ze szkicownika, znanego karykaturzysty Jotesa, zawierającego jego notatki z posiedzeń sejmowych.

Mała i wielka

Mała — to oczywiście Konstytucja; Wielka — to amnestia.

W tych określeniach nie kryje się żadne przeciwstawienie. Ustawa, o zakresie działania najwyższych władz państwowych, uchwalona przez Sejm, nazywana jest „małą Konstytucją", gdyż obejmuje tylko część praw zasadniczych, kształtujących życie państwa. Całość tych praw obejmie konstytucja, do której opracowania Sejm niewątpliwie przystąpi w niedługim czasie.

Amnestię słusznie nazywa się wielką. Dotyczy to zarówno szerokiego jej zakresu, jak i ilości ludzi, których ona obejmuje. Uchwalając także deklarację o wolnościach i prawach obywatelskich, Sejm nie zapomniał o daniu przykładu zainteresowania człowiekiem w Polsce. Stało się to przy okazji uchwalania ustawy o amnestii. Specjalny apel Sejmu wskazuje na konieczność roztoczenia opieki nad amnestionowanymi. Ważne jest, aby nie tylko dać ludziom wolność i przebaczenie, ale także dać im możność życia i pracy. Znane nam są wypadki, że zwalniani z więzień na skutek aktu łaski do figury paradować musieli przy dwudziestostopniowym mrozie. Było to dość chłodne przyjęcie, jakie ojczyzna przygotowała swoim marnotrawnym synom. Chodzi o to, ażeby zwalniani z więzień, ujawniający się i powracający z zagranicy, czuli serdeczną nad sobą opiekę.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu



Mianowanie płk. Rzepeckiego wicedyrektorem Wojskowego Instytutu Naukowego (w skrócie WIN) stało się tematem do wielu dowcipów i kalamburów.

A po prostu powiedzieć można: oto właściwy człowiek na właściwym miejscu. Podobnie jak mówiono przed wojną o dyrektorze stoczni gdańskiej, noszącym nazwisko Noe.

Cudzysłów posła Hochfelda

Prezes Związku Parlamentarnego Polskich Socjalistów, dr Julian Hochfeld, przesłał do redaktora „Tygodnia" list następującej treści:

W związku z miłą i nader pochlebną dla mnie notatką pt. „Prośba o cudzysłów", zamieszczoną w „Tygodniu" z dnia 16.II.br. na stronie 3-ej, wyjaśniam, co następuje:

Dowcip o pośle Żuławskim opowiadali mi znajomi gdzieś około połowy lutego. Nie powoływali się przy tym na „Tydzień", ani też na Szanowną Autorkę felietonów „Tygodnia". Proszę mi wierzyć, że gdybym przypuszczał, iż dowcip ten został zamieszczony w „Tygodniu", byłbym na pewno na pismo się powołał. Mam wszakże powody sądzić, że zarówno Szanowna Autorka felietonu w „Tygodniu", jak i moi informatorzy, dowcip ten zaczerpnęli z jakiegoś trzeciego źródła, którym zapewne jest „twórczość ludowa", odpowiednio sparafrazowana. Gdyby było inaczej, gotów jestem z całą chęcią wprowadzić odpowiednią poprawkę do protokółów posiedzeń Sejmu Ustawodawczego.

Łączę wyrazy szacunku

Julian Hochfeld

Wydaje nam się, że byłoby zbędne angażowanie aż aparatu Sejmu Ustawodawczego do naszego koleżeńskiego z posłem Hochfeldem sporu. Jeśli o nas chodzi — uważamy incydent za wyczerpany. Zgodnie z najlepszą praktyką dziennikarską i parlamentarną.

Angielskie kłopoty



Kłopoty te są zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Te ostatnie zresztą w ostatnich tygodniach przesłoniły nieco palące kwestie Indii, Egiptu, Palestyny, Sudanu i innych. Są to kłopoty gospodarcze, a przede wszystkim opałowe. Zima, jakiej wyspy nie pamiętają od stu lat, wpłynęła katastrofalnie na produkcję i transport węgla. W związku z tym w Wielkiej Brytanii rozgorzała walka o niezależność gospodarczą. Gest premiera Attlee, odrzucający w najbardziej krytycznym momencie pomoc węglową Stanów Zjednoczonych wydawał się z początku niezrozumiały. A chodziło właśnie nie o co innego jak o niepoddawanie się supremacji USA.

Polityczne tygodniki brytyjskie zostały zawieszone na przeciąg kilku tygodni w związku z koniecznością przeprowadzania oszczędności w zużyciu energii elektrycznej. Zarządzenie to zostało przyjęte przez opinię jako pewien rodzaj zamachu na wolność prasy, a dzienniki udzieliły gościny najwybitniejszym współpracownikom tych tygodników. Komentator polityczny „New Statesman of Nation" w obrazowy sposób charakteryzuje dwie różne tendencje, krzyżujące się obecnie w Wielkiej Brytanii. O jednych powiada on, że chcieliby „z czapką w ręku iść do Stanów Zjednoczonych i prosić o pomoc". Stanowisko obozu rządowego określa on zaś tak: „chcemy mocno stać na własnych socjalistycznych nogach". Okazuje się, że w Wielkiej Brytanii tak jak i gdzie indziej czynniki postępu społecznego są szczerymi rzecznikami niezależności swoich krajów.

Niedobre obyczaje

W poprzednim numerze zamieściliśmy fotografię z premiery „Żołnierza królowej Madagaskaru", a w bieżącym recenzję z tej premiery, ozdobioną fotografią Miry Zimińskiej, której powrót na scenę tak serdecznie powitała Warszawa. Czytelnicy sądzićby mogli, iż rzeczy te umieszczone zostały na skutek zabiegów dyrekcji Teatru Muzycznego.

Tymczasem jest zupełnie inaczej. Dyrekcja nowej sceny przystosowuje się skrupulatnie do dziwnych obyczajów, wprowadzonych po wojnie przez teatry stołeczne. Obyczaje te zmierzają do całkowitego zlekceważenia roli prasy, nienadsyłania jej zaproszeń na premiery itp. W liście do dyrekcji Teatru Muzycznego napisaliśmy, że oczywiście teatry mogą lekceważyć prasę, bo i tak „idą", a prasa może nie pisać o teatrach, bo i tak ma dobre nakłady. Czy to będzie jednak z pożytkiem dla obu stron, i dla widzów i dla czytelników — to już zupełnie inna kwestia.

Maquillage

Statua wolności w Nowym Jorku była zamknięta dla publiczności przez sześć tygodni. Statua musi być na nowo pomalowana innym rodzajem farby, bo zwiedzające ją Amerykanki podpisywały się na wszelkich możliwych miejscach pomadkami do warg, tak że statua była cała czerwona. Nowy rodzaj farby nie jest wrażliwy na maquillage.

Sztuczny deszcz

Uczonym australijskim nie udało się zrobienie sztucznego deszczu. W zeszłym roku w Stanach Zjednoczonych udało się spowodować sztuczny deszcz i Australia chciała to zastosować u siebie. Dr E. B. Kraus prowadzi w tym kierunku doświadczenia, ale utrzymuje je w tajemnicy, gdyż farmerzy z Nowej Południowej Walii najeżdżaliby jego biuro, żądając deszczu. Wedle doniesień sydneyskiego dziennika „Sun", samolot wojskowy rozpylał suchy lód na chmurę, jednak eksperyment ten nie udał się.

Dziwne kalectwo

Pani Minards wytoczyła proces brytyjskiemu Towarzystwu Autobusów o odszkodowanie i sąd przysądził jej 3 tysiące funtów.

W roku 1943 uległa wypadkowi autobusowemu i od tego czasu ciągle przybywało jej na wadze. Nie jada ona cukru, ciastek, puddingów, marmolad, kartofli, a jednak każde pożywienie przyczynia się do wzrostu jej wagi. Władze przyznały jej dodatkową kartę odzieżową.

Pechowe dziecko

7-letniemu Patrickowi Howlett w jego krótkim życiu zdarzyło się wiele wypadków. Gdy miał 9 miesięcy, wylał na siebie gorącą wodę, doznając poparzeń. W wieku lat 2 był on w szpitalu, który został zbombardowany przez Niemców i został ranny odłamkiem. W tymże roku chorował na szkarlatynę i na odrę. W wieku lat trzech poparzył sobie w ogniu kuchennym obie ręce. Gdy miał 4 lata, usiłował wyratować ze sztucznego stawu małego psa i w rezultacie dostał zapalenia płuc. Jako pięcioletnie dziecko uratował on swoją siostrę od spalenia. Gdy sukienki na niej zapaliły się, rzucił ją na podłogę i płomienie ugasił rękami.

Zdawało się, że ostatni rok przejdzie bez wypadku, jednak w ostatnich dniach 1946 roku wpadł do leju po bombie i złamał sobie nos oraz kość czołową. Patrick ma dotychczas szczęście. Jesteśmy ciekawi, co mu się wydarzy w tym roku.

Fundusze niemieckie za granicą

Przed kilkunastu dniami ogłoszono raport specjalnej komisji, badającej fundusze niemieckie za granicą. W komisji tej brał udział znany lord Vansittart, były premier francuski Herriot i wielu innych znanych mężów stanu.

Komisja doszła do wniosku, że partia narodowo - socjalistyczna w Niemczech reorganizuje na nowo ruch podziemny.

Ta organizacja ruchu podziemnego jest wynikiem tajnego zebrania dyrektorów i inżynierów przemysłu niemieckiego, odbytego w kwietniu 1945 r. w Bazylei w Szwajcarii, w której brało udział około 650 czołowych postaci przemysłu niemieckiego. Przegrana Niemiec była wówczas już zupełnie wyraź-

tak i nie STRONA 4

Ostrze na ostrze

ZACHOROWAŁAM

czyli dzień bezczynności

Obywatelom posłom wolno mieć grypę — i ministrom wolno — przedstawicielom obcych mocarstw, według doniesień „Expressu" tudzież — dlaczegoż by, stosując się do mody, nie miała zachorować skromna współpracowniczka redakcji?

Pomyślałam sobie i — jak na zamówienie, zjawia się łamanie w kościach, gorączka oraz inne dolegliwości, opisane dokładnie w naszych pismach codziennych.

Zachorowałam.

Położyłam się do łóżka, uważając ponadto, iż po trudach intensywnego życia publicystycznego w ciągu ostatnich, obfitych w zdarzenia tygodni — taki mały wypoczynek nie zawadzi. Chociażby nawet w towarzystwie grypy.

Z samego rana odezwał się telefon, szczęśliwie do tego dnia nieczynny. Wstałam, podeszłam do aparatu. Uprzejma panienka oświadczyła mi, że telefon już działa. Dziękując mile, powędrowałam z powrotem do łóżka.

Reszta wydarzeń na przestrzeni dnia rozegrała się w tempie amerykańskiego filmu.

Telefon z redakcji nr 1.

— Co, chora?!! Do licha, takie ważne są sprawy do załatwienia. To my przyjedziemy do ciebie!

Przyjechali. Siedzieli godzinę, choć sprawy nie okazały się wcale takie „ważne". Musiałam jednak wstać, przejrzeć jakieś rękopisy, załatwić kilka telefonów redakcyjnych, bo „z redakcji trudno się dodzwonić". Nareszcie poszli. Położyłam się.

Przyszedł rysownik, obdarzony w równej mierze talentem, co brakiem zaradności życiowej. Trzeba mi było objaśnić, jak ma ilustrować następny numer pisma.

Potem przyszedł synek dozorcy po raz szósty z rzędu z ankietą meldunkową, gdzie na którejś tam kartce (osób w mieszkaniu sześć) — brakowało jeszcze mojego podpisu. Błogosławiąc ojców miasta i władze administracyjne, podpisałam się tuzin razy i bez sił opadłam na poduszki.

Natychmiast zjawił się kominiarz w towarzystwie inspektora budowlanego, celem odbycia obszernej dyskusji na temat sprawnego działania kominów — właściciel domu, bowiem przypisując swej zasłudze remont, uskuteczniony kosztem lokatorów, nie ustaje w staraniach o wyłączenie domu spod kwaterunku i prowadzi niekończące się pertraktacje z komisjami budowlanymi. Obejrzeli, przedmuchali lufciki — przy okazji wysunęła się rura od piecyka i zasypała sadzą dwa pokoje oraz kilka osób.

Z kolei przyszedł funkcjonariusz gazowni z rachunkiem oraz, w ślad za nim, przedstawiciel władz skarbowych, domagając się uiszczenia zapłaconego już raz podatku.

Redakcja nr 2 dwukrotnie przysłała gońca po niecierpiący zwłoki artykuł, mający w sposób wątpliwy uświetnić następny numer znakomitego pisma. Musiałam wstać i napisać.

Popełniłabym nietakt, gdybym nie wspomniała o miłosiernych wyznawcach szlachetnej zasady „chorych nawiedzać", którzy złożyli mi dwie wizyty, usiłując za moim pośrednictwem („ty jesteś taka uczynna i znasz naczelnika Iksińskiego z Urzędu Dla Spraw Niekoniecznie Ważnych...") — załatwić swe niecierpiące zwłoki interesy!

Wieczorem temperatura moja podniosła się do 39 stopni. Powtarzałam całą noc w malignie: „Chorych nawiedzać, chorych nawiedzać, chorych nawiedzać..."

AVIS

Marek Sadzewicz

PODRÓŻ DO KRESU NICOŚCI

ZŁOWIONE UPIORY

Proces Fischera, warszawskiego gubernatora i jego towarzyszy, jeszcze raz zawraca naszą niechętną myśl do czasów, o których radzibyśmy zapomnieć. Zawsze przy takich spojrzeniach za siebie, doznajemy mdlącego uczucia pochylenia nad otchłanią, w której mglistych oparach bytują zjawy spłodzone przez obłęd, majaki zaprzeczające swym istnieniem zdrowemu rozsądkowi, wszystkim naszym wyobrażeniom o porządku świata i o tym, co według naszych pojęć miało być ludzkie.

Wrażenie nieprawdopodobieństwa potęguje się w zetknięciu z realiami minionej rzeczywistości, na widok człowieczego kształtu osobistości, błąkających się wciąż jeszcze po salach sądowych, jak złapane i zmaterializowane upiory z delirycznego snu, które w świetle białego dnia mają ponieść odpowiedzialność za czyny, dokonane podczas poprzedniej, nocnej, koszmarnej egzystencji.

CZTEREJ PANOWIE NIJACY

Czterej źle ubrani panowie o zatroskanym wyglądzie zasiadają na ławie oskarżonych Najwyższego Trybunału Narodowego. Każdego z nich możnaby dziesięć razy minąć w tłumie ulicznym i nie zauważyć i nie zapamiętać. Tak są szarzy, pospolici, nijacy. I właśnie ta szarość, codzienność, pospolita ludzkość ich wyglądu pogłębia niesamowitą treść widowiska.

Bo *dramatis personae* odarte z dekoracji swastyk i trupich główek, wyjęte z feeri podniecających barw i ogni hitlerowskiej bachanalii, sprowadzają rzecz całą do miary jedynie właściwej. Do miary zbrodni, dokonanej przez ludzi z krwi i kości.

Jednym z bardziej ciekawych i rewelacyjnych przyczynków do zrozumienia istoty hitleryzmu jest niewątpliwie książka Hermana Rauschninga — „Rewolucja nihilizmu". Warto dziś do tej książki powrócić, tym bardziej, że jej wydanie polskie w świetnym zresztą tłumaczeniu St. Lukomskiego ukazało się przed samym wybuchem wojny i wskutek tego w małym tylko stopniu dotarło do rąk czytelnika.

Herman Rauschning, b. prezydent senatu wolnego miasta Gdańska, sam był hitlerowcem, zanim stał się emigrantem politycznym. Do dziś dnia pozostał nie tylko emigrantem, ale i... konspiratorem w pewnej mierze. Herman Rauschning po ogłoszeniu swoich rewelacji musiał ukryć się, gdzieś w Ameryce i nie uważa za możliwe „ujawniać się" nawet i obecnie: nie czuje się bezpieczny

REWOLUCJA NIHILIZMU

Rauschning widzi hitleryzm jako *rewolucję nihilizmu* (die Revolution des Nihilismus). Jego zdaniem nie istnieje żadna ideologia, czy program hitleryzmu. Jest tylko metoda i działanie hitlerowskie jako sposób nihilistycznego wyżycia.

„Dla mas jest program i urzędowy światopogląd, karność i wiara. Elity nic nie ogranicza. Żaden światopogląd, żadne normy etyczne. Obowiązuje ją tylko jedno: bezwzględne dotrzymywanie koleżeństwa między sobą, w kole wtajemniczonych."

„Nie ma stałych celów w polityce zagranicznej, jak ich nie ma w polityce gospodarczej i polityce wewnętrznej. Podobnie jak w polityce gospodarczej Hitler usiłował wyzwolić się spod wpływu wszelkich doktryn, tak postąpił też we wszystkich innych dziedzinach."

DEMONIZM

„Demonizm ruchu, który jest rewolucją i rewolucyjnym burzeniem wszystkiego; właśnie ujawnia się tam, gdzie go się nikt nie spodziewa. Ruch ten jest nowym typem rewolucji, całkiem odmiennym od klasycznej rewolucji francuskiej".

Każda rewolucja dąży do stworzenia jakiegoś nowego ładu i następnie do jego stabilizacji. Rewolucja hitlerowska cokolwiek by głosiła o „nowym porządku" Europy czy świata, nie dąży do żadnego porządku, ładu czy stanu, w ten sposób bowiem zaprzeczyłaby samej sobie. Jest rewolucją dla samej rewolucji,

„SYNOWIE CHAOSU"

Pewne wytłumaczenie mentalności hitlerowskiej można znaleźć w składzie społecznym, z którego rekrutują się jej ludzie. Ogólnie możnaby powiedzieć, że jest to lumpenproletariat wojny.

N.S.D.A.P. — nazwa partii wskazywałaby na to, że jej rdzeniem są robotnicy. To nieprawda. „Zamiast oprzeć się na zorganizowanym robotniku, który był i jest pierwiastkiem porządku, użyto za dźwigający wszystko fundament pseudo robotników z partyjnych oddziałów narodowo-socjalistycznych".

„Awanturnicze żywioły aspołeczne lub zdeklasowane, pozostałości każdej zlikwidowanej wojny wzięto bardzo wcześnie w rachubę polityczną i zaksięgowano na koncie nowego nacjonalizmu reakcyjnego jako pozycję czynną".

„Synami chaosu" nazwał wódz niemieckiej partii elitę swoich związków rewolucyjnych. Zaś o członkach, znajdujących się na żołdzie oddziałów mówi, że ich „wewnętrzny charakter i przeznaczenie nic nie oświetla lepiej, niż straszliwe po prostu spisy karne, rejestrujące owe żywioły. Jest to fundament ustroju programowo aspołeczny.

CYGANERIA OD KATHI KOBUS

Poza psychologią zdeklasowanych półinteligentów, przestępców i wykolejeńców wojennych, tworzących styl życia otoczenia Hitlera w okresie piwiarni monachijskiej można sięgnąć jeszcze i dalej i poszukać ich w rozpuście intelektualnej kawiarni monachijskiej dzielnicy artystów, będącej przecież niczym innym, jak „rewolucyjnym wybrykiem miłującego w gruncie rzeczy pokój mieszczanina. „To było niewiele więcej niż „histeryczne odrodzenie" z początku stulecia, „wraz ze wszystkimi literackimi upodobaniami z pasją do „niebezpiecznego życia", lecz tylko na Schwabingu (dzielnica literatów i artystów w Monachium) z nastrojem rewolucyjnym od Kathi Kobus (właścicielka słynnej kawiarni „Simplicissimus" w Monachium) z tym po mieszczańsku utemperowanym nihilizmem, stanowiącym jedynie objaw rozwiązłości umysłowej".

Dopiero hitleryzm wprowadził „życie niebezpieczne" jako zasadę postępowania i wywrócił na nice wszelki porządek moralny już nie przy stoliku kawiarnianym tylko w obozach zniszczenia, gigantyzmie ludobójstwa, i piecach całopalenia.

„OKRUTNA ROZKOSZ NASZYCH CZASÓW"

Nastrój owej straszliwej cyganerii XX wieku, cyganerii wyposażonej w kolumny czołgów, bomby V 1 całą oszałamiającą technikę zniszczenia — technikę unicestwienia wszystkiego już nie tylko w dziedzinie materii, ale i w świecie ducha oddaje myśl Ernsta Jüngera: „Najlepszą odpowiedzią na najcięższą zdradę, popełnioną przez ducha wobec życia jest zdrada, popełniona przez ducha wobec ducha; udział w tej akcji przygotowania wybuchu należy do wielkich i okrutnych rozkoszy naszych czasów".

Rauschning stawia sobie pytanie „jak to się mogło stać, że tak potężna siła dynamiczna wyrosła z niewielkich i pogardy godnych początków. Jest to znamieniem czasów, że zewnętrznie olbrzymie osiągnięcia i przedsięwzięcia możliwe są bez żadnego fundamentu.

Odrzuciwszy wszystkie zasady, hitleryzm pozostawił sobie tylko technikę przewrotu i niszczenia, jako narzędzie dzieła uniwersalnego nihilizmu.

Hitler stworzył nieosiągalny dla innych jej szczyt, umożliwiając sobie długotrwałe zwycięstwa, omal że nie obalenie całego świata cywilizowanego.

TECHNIKA MEDIUMISTYCZNA HITLERA

Cechą osobistą jest niezwykła zręczność, elastyczność, zawsze przytomna gotowość, mediumistyczna zdolność do stwarzania łączności z siłami, zbiegającymi się w danym problemacie i ich tłumaczenia.. tkwi w nim jedno i drugie — zarówno rozważne, zimne wyrachowanie, jak i irracjonalne „wyczucie", odczucie, czy jak to tam jeszcze nazwać można... kto widział, jak podczas rozmowy o drobnych sprawach Hitler umyślnie wprost podnieca się, podnosząc głos i gestykulując obficie, aby wyrwawszy się z ciężkiego stanu letargicznego i przerzuciwszy do oburzenia, przesady, wyzwolić się z wewnętrznych więzów, — ten rozumie, że i w wielkich sprawach nie kieruje się on samym tylko zimnym wyrachowaniem i rozważną taktyką i rozumie, że potrzeba mu wtedy wybuchów uczuciowych, aby mógł utrzymać się w bojowym napięciu i uzyskać ową przemożną siłę sugestii, której prawie każdy ulega".

W całej zresztą taktyce i metodach propagandy oraz działania narodowego socjalizmu „tkwi głęboka pogarda dla człowieka". Hitler pisze w „Mein Kampf", że „należy go brać takim, jakim jest" i „uwzględniać jego ułomności i bestialstwo".

Tym najpełniejszy dał chyba wyraz „czasom pogardy i spodlenia".

POD SZUBIENICĄ

Jesteśmy na dnie. Tutaj zaprowadził makabryczny witalizm i bezdogmatyczny arrywizm „mitu XX wieku". Tu — i pod szubienicę.

Cóż, szubienica. Nie zawsze była narzędziem wzgardy. Twardą stopą wstępowali na szubieniczną drabinę pokonani bojownicy sprawy słusznej, chociaż przegranej, nosiciele idei, która jeszcze nie wzeszła, albo której czas już przeminął. Była w tych ludziach godność i nieudana śmiałość i nawet radość. Skądś czerpali ją bojowcy, kiedy ostatnim tchnieniem, zanim zacisnęła się pętla wołali: „Niech żyje rewolucja" albo inni wobec plutonu egzekucyjnego": „Jeszcze nie zginęła". Również i ludzie „gasnącego świata" mieli skądś spokój wewnętrzny i godność wobec wrogiego tłumu, kiedy wchodzili na stopnie gilotyny. Krzyż — „śmierci znak hańbiący" stał się przecież znakiem wiary. Ale przestępcy hitlerowcy jej nie mają.

Tutaj może dojdziemy do odpowiedzi na pytanie postawione już dawniej, przy okazji tego samego procesu i do rozwiązania zagadki małoduszności tych ludzi wobec katowskiego stryka, wyraźnego tchórzostwa tych ludzi, którzy przecież w życiu ważyli się na wszystko. Odpowiedź znajdziemy być może w bezmiernej trwodze człowieka w obliczu wytworzonej przez samego siebie nicości.

CHWILA WYTCHNIENIA I... NATCHNIENIA.



(Fot. Film Polski).

Grupa posłów przegląda dzienniki w kuluarach sejmowych. (Od lewej do prawej siedzą: Jabłoński, Praga, dyr. „Społem" Rapacki i Dobrowolski.

na i zebrani zadecydowali wysłanie funduszów do wszystkich krajów neutralnych, oraz polecili specjalistom wyjazd i staranie się o obywatelstwo państw neutralnych. Komisja podaje, że fundusze niemieckie w Ameryce Południowej wynoszą miliard dolarów, w Szwecji — 300 milionów dolarów, w Szwajcarii — 250 milionów dolarów. Fundusze te mają służyć na odbudowę nacjonalistycznych Niemiec. W jaki sposób zostało to wykonane, wyjaśniają dane, podane do publicznej wiadomości przez byłego zastępcę prokuratora brytyjskiego w Norymberdze, Jonesa.

22 sierpnia 1939 r. Hitler na zebraniu dowódców wojskowych oświadczył: „Nasza sytuacja gospodarcza jest tego rodzaju, że nie możemy zwlekać z działaniem, gdyż gospodarczo nie wytrzymamy ciężaru zbrojeń."

Rola I. G. Farben

Wielką pomocą dla rządu narodowo-socjalistycznego w Niemczech był koncern I. G. Farben. Założony w r. 1925 na skutek połączenia sześciu największych firm chemicznych w Niemczech, objął wkrótce na własność 9.000 fabryk w całej Europie. Miał ponad 2.000 układów kartelowych z koncernami przemysłowymi na całym świecie, jak np. w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Japonii itd.

Niemcy nie mogłyby prowadzić wojny bez syntetycznej gumy, skóry, bawełny, wełny i smarów, które produkowało I. G. Farben. Już przed wojną może nie tak wyraźnie, jak przemysł ciężki Zagłębia Ruhry I. G. Farben ściśle współpracowało z Hitlerem. Już w roku 1933 I. G. Farben ofiarowało 3 miliony marek na tajny fundusz Hitlera. Potem płaciło rocznie milion marek na fundusz, znajdujący się pod kontrolą Goeringa.

Dyktatorem I. G. Farben był Schmitz, który rozpoczął karierę jako sekretarz żydowskiego przemysłowca, a w roku 1933 został posłem narodowo - socjalistycznym do Reichstagu. Również inni dyrektorzy I. G. Farben wstąpili w szeregi partii hitlerowskiej, a dyrektor Krauch był przewodniczącym komisji przygotowującej wojnę chemiczną. W czasie wojny I. G. Farben zakupywało we wszystkich krajach neutralnych fabryki, a nawet farmy, przygotowując się do klęski Niemiec, która od 1942 r. była przez kierowników tego koncernu przemysłowego przewidywana. Zakupy fabryk były tak dobrze zakonspirowane, że Stany Zjednoczone przez cały czas wojny utrzymywały stosunki handlowe z firmą chemiczną, stanowiącą własność I. G. Farben, dostarczającą Stanom Zjednoczonym materiału wojennego.

W ten sposób Schmitz, którego nazywają „mistrzem finansowego maskowania", przygotował fundusze dla odrodzenia się ruchu narodowo - socjalistycznego w Niemczech.

Panna do wszystkiego

Lord Beveridge, członek Izby Lordów znany, jest ze swego projektu powszechnej opieki społecznej, który przygotował na wyraźne żądanie Churchilla w toku toczącej się wojny. Churchill był przekonany, że projektem tym zdobędzie głosy wyborcze. Projekt był niesłychanie reklamowany, a mimo to nie osiągnął celu politycznego. Konserwatyści ponieśli klęskę.

Ostatnio lord Beveridge poszedł za ogólnym prądem i obecnie wypisuje na łamach „Observera" artykuły pełne współczucia dla biednych dobrych Niemców, którzy zbłądzili, jak ów syn marnotrawny marszałka Smutsa, któremu należy obecnie wskazać drogę nawrócenia.

Wyniki nalotów na Japonię

W ślad za sprawozdaniem z nalotów alianckich na Niemcy ukazała się w Ameryce urzędowa publikacja, sumująca skutki bombardowań Japonii.

Chociaż operacje lotnicze przeciw Japonii trwały krócej niż przeciw Niemcom, bo dopiero od chwili zdobycia przez Amerykanów bazy w postaci

tak i nie

wysp Mariańskich w listopadzie 1944 r. i chociaż pełne nasilenie nalotów trwało tylko 6 miesięcy, od marca do sierpnia 1945 r., jednak wyniki prześcignęły to, co osiągnięto na europejskim teatrze wojny.

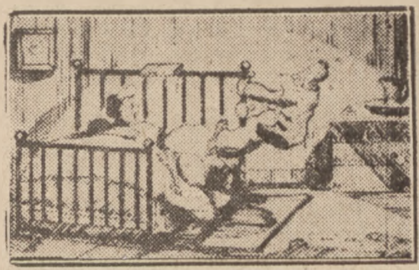
Na wyspy japońskie spadła 1/4 bomb zrzuconych na froncie Pacyfiku, w sumie 160 tysięcy ton. To wystarczyło, by zniszczyć 40% budynków mieszkalnych i pozbawić 30% ludności dachu nad głową. Osiemset tysięcy ofiar w ludziach skutkiem nalotów stanowi straty większe niż zadano armii japońskiej o całe sto tysięcy. Średni i drobny przemysł uległ prawie całkowitemu zniszczeniu. Produkcja zbrojeniowa w chwili zakończenia wojny zdolna była do wytwarzania zaledwie 20% tego, co w okresie szczytowego jej rozwoju w 1944 roku dostarczała armii i flocie. Bombardowanie składów i linii komunikacyjnych, które szczególnie w ostatnim stadium wojny nękało Japończyków, zmusiło rząd do zmniejszenia racji żywnościowych w miastach z 2.000 do 1.680 kalorii na osobę dziennie. Sprawozdanie podaje, że gdy w roku 1944 poddani Mikada niezachwianie wierzyli w swe zwycięstwo, to w marcu 1945 r 19% straciło nadzieję, w trzy miesiące później było 46% pesymistów i wreszcie pod koniec wojny 68%.

Cyfry bardziej chyba odpowiadają amerykańskiemu zamiłowaniu do ujmowania w procentach wszelkich zjawisk, nawet psychicznych, aniżeli rzeczywistości! Niemniej uderza mały procent przewidujących klęskę, która np w marcu, gdy rozpadały się Niemcy, była dla jako-tako umiejącego myśleć obserwatora niewątpliwa. Nie bez wpływu były tu zapewne zabiegi rządu, by nie dopuścić do wiadomości ogółu rzeczywistego stanu rzeczy.

Interesujące są konkluzje sprawozdania. Po pierwsze operacje powietrzne nad Japonią dowiodły, że żaden gęsto zaludniony kraj nie może na dłuższą metę bronić się przeciw ofensywie lotniczej, gdy nie posiada dostatecznej obrony przeciwlotniczej. Klęska jest w tym wypadku nieuchronna, a odwlekanie zawieszenia broni bezcelowo wykrwawia naród i niszczy jego gospodarkę.

Po drugie: Japonia nie została pokonana przez bombę atomową. Gdy ta spadła na Hiroszimę, Japonia była już znokautowana, leżała na deskach. To wszystko, co nastąpiło potem, to było wyliczanie do dziesięciu, okres między upadkiem pokonanego, a podniesieniem ręki zwycięzcy do góry na znak wygranej walki.

WIECZNIE TO SAMO



Pasażer tramwajowy udaje się na spoczynek

(„Le Patriote illustré" — Bruksela)

Prohibicja przyniosła im sławę

Przed kilkunastu dniami zmarło w Stanach Zjedn. dwu ludzi, których losy związane były ze sobą w dziwny sposób.

Bez działalności pierwszego drugi nie doszedłby nigdy do „sławy", jednak ta właśnie sława przyczyniła się w dużej mierze do wymazania dzieła drugiego.

Nie wiemy, czy Al Capone dowiedział się o śmierci Volsteada, a 87-letni Volstead na pewno nie interesował się tym, że Al Capone jest umierający.

Historia tych dwu ludzi jest na pewno interesująca.

Po pierwszej wojnie światowej zanim zdemobilizowani żołnierze zdążyli wrócić do domu fala moralności dochodzącej aż do histerii opanowała Amerykę. Może to była reakcja na wojnę z jej brakiem wszelkiej moralności i występkami. Liga Antyalkoholowa opracowała ustawę prohibicyjną i szukała członka kongresu, który by wniósł i przeprowadził tę ustawę w kongresie amerykańskim.

Znalazła ona poparcie u Andrzeja Volsteada, byłego nauczyciela, który zajmował się po porzuceniu zawodu nauczycielskiego adwokaturą i polityką, co dało mu fotel członka Kongresu. Poprawka do konstytucji amerykańskiej przewidywała zakaz sprzedaży alkoholu. Volstead opracował ustawę wykonawczą, przewidującą karalność sprzedaży i wyrobu alkoholu. Tak powstał „Volstead Act", czyli ustawa prohibicyjna w Ameryce. Nazwisko Volsteada zwanego „ojcem prohibicji" było najsławniejszym nazwiskiem w Ameryce przez lat dziesięć. Ukazywało się ono w prasie więcej niż każde imnne. Zapomniano w ogóle, że Volstead był projektodawcą bardzo ważnej ustawy o spółdzielniach rolniczych i każdy pamiętał tylko o jego ustawie prohibicyjnej. Volstead widział, że ustawa jego przyniosła więcej szkody niż pożytku, aż została zniesiona.

Do zniesienia jej przyczyniły się bez wątpienia czyny „króla podziemnego Chicago" — Al Capone.

Al Capone wyrósł na prohibicji.

W r. 1923 w pewnym klubie karcianym siedział chicagowski „król piwa" Jonny Torio, grając w karty z kilkoma swoimi pomocnikami. W pewnym momencie posypały się strzały. Pociski z karabinu maszynowego rozbijały lustra, wyrywały tynk ze ścian. Torio został ranny, przeżył napad, ale pojął ostrzeżenie. Wycofał się z „interesów" i wyjechał do rodzinnej Italii.

Cztery lata przed tym wynajął on do ochrony osobistej niejakiego Alfonsa Capone. W r. 1923 Al Capone zostaje sam szefem.

Przeszedł on dobrą szkołę kryminalną w Nowym Jorku ale miał geniusz finansowy. Jego przedsiębiorstwa piwne, alkoholowe i domy publiczne oparte były na organizacji wielkich towarzystw handlowych. Konkurentów usuwał na zawsze.

Jak każdy z businessmanów w Chicago, znał on wartość wpływów politycznych. Ponad 2.000.000 dolarów rocznie płacił Al politykom i urzędnikom Chicago. Był bezpartyjny. Popierał w swoim czasie i zarząd miejski burmistrza Devera, który miał przeprowadzić poprawę stosunków w Chicago (sprawy Al Capone nie wchodziły oczywiście w program reform), jak i burmistrza Thomsona — najbardziej przekupnego burmistrza, jakiego miało Chicago w ogóle.

Al Capone nie kupował zarządu Chicago. On sam był zarządem. Posiadał 15.000 piwiarni, co przyniosło mu np. w r. 1927 60.000.000 dolarów. Armia jego dosięgała 700 uzbrojonych i zdecydowanych na wszystko gangsterów.

Nie wszyscy byli zadowoleni z panowania Al Capone. Przywódca drugiej bandy w Chicago O'Banion zdecydował, że należy położyć koniec królowaniu Al Capone. Przed restaurację, gdzie jadł obiad Al, zajechało w biały dzień sześć ...rnych samochodów. Z wszystkich zaterkotały karabiny maszynowe. Capone cudem ocalał. Leżąc na brzuchu, głowę zakrył ciężką mosiężną spluwaczką jak hełmem. Gdy powstał po napadzie, los O'Baniona był zdecydowany. W dzień św. Walentego 14-go lutego przed garaż, gdzie odbywało się właśnie zebranie bandy O'Baniona, zajechał samochód policyjny. Na wezwanie policji bandyci oddali broń i ustawili się pod ścianą. Weszło dwóch detektywów w cywilnych ubraniach. Zaszczekały pistolety maszynowe. Al Capone wyrównał rachunki.

Rząd federalny nigdy nie mógł zdobyć dowodów bezpośredniej winy Al Capone. Ostatecznie udało mu się udowodnić przestępstwa podatkowe. Gdy Al dostał 10 lat więzienia za to przestępstwo, era prohibicji już się kończyła, a na sumieniu miał życie ponad 500 osób.

Ze śmiercią tych dwóch ludzi rozdział historii o prohibicji amerykańskiej możemy uważać za zamknięty.

AMNESTIA WCHODZI W ŻYCIE

„Oświadczam, że dobrowolnie zaniechałem przestępczej działalności"

Wysłannik Polskiego Radia uzyskał szereg szczegółów dotyczących praktycznej strony wykonania amnestii od Rzecznika Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego płk. Romkowskiego.

Jak się dowiadujemy z wywiadu Polskiego Radia natychmiast po ogłoszeniu amnestii wojewodowie rozplakatują obwieszczenia, ogłaszające dobrodziejstwa amnestii dla tych wszystkich, którzy dobrowolnie zaniechali działalności przestępczej i ujawnili się przed władzami. W dniu ogłoszenia amnestii zaczną urzędować specjalne komisje, składające się z przedstawicieli Rad Narodowych i przedstawicieli Władz Bezpieczeństwa Publicznego. Komisje te urzędować będą we wszystkich Urzędach Bezpieczeństwa w specjalnie na ten cel przygotowanych pomieszczeniach, do których dostęp będzie swobodny. Ujawniający się złoży piśmienne oświadczenie, w którym zawarta jest następująca klauzula: „oświadczam, że dobrowolnie zaniechałem swej dotychczasowej przestępczej działalności". Do oświadczenia tego ujawniający się wpisze również ile i jaką broń, względnie inne przedmioty zakazane złożył przy ujawnieniu się. Na podstawie tego oświadczenia ujawniający się otrzyma odpowiednie zaświadczenie, które poza skutkami prawnymi będzie również pomocne w uzyskaniu pracy.

Jeszcze przed wejściem w życie amnestii odbyła się międzyministerialna konferencja, która zastanawiała się nad sposobami ułatwienia ujawniającym się i zwolnionym z więzień powrotu do społeczeństwa. W wyniku tej konferencji została utworzona międzyministerialna komisja niesienia pomocy amnestionowanym, która opracowała formy tej pomocy. Czynnik społeczny reprezentowany jest w komisji przez Polski Czerwony Krzyż. Każdy amnestionowany otrzyma bezpłatny przejazd do miejsca zamieszkania, czy zatrudnienia. W miarę potrzeb otrzyma również pomoc w odzieży i obuwiu, żywność na kilka dni, oraz w miarę konieczności pewne sumy pieniężne.

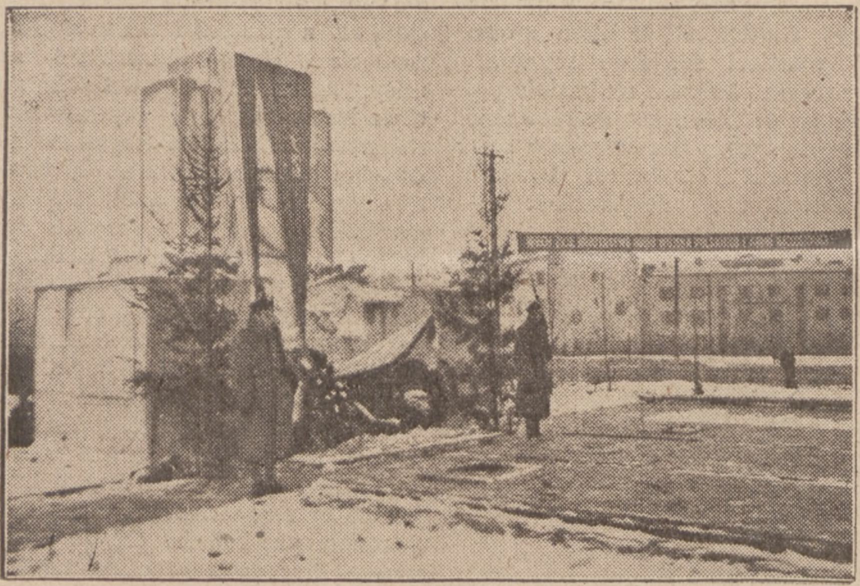
Amnestionowani kierowani będą do pracy poprzez Urzędy Zatrudnienia, Wydziały Przemysłowe i inne instytucje. Poszczególne ministerstwa wydały podległym sobie warsztatom pracy odpowiednie zarządzenia w sprawie zatrudniania amnestionowanych.

Licząc się z ewentualnością amnestii władze nie wykonywały ostatnio wyroków w stosunku do skazanych na śmierć w procesach politycznych. Dzięki amnestii 65 osobom skazanym na śmierć kara zamieniona zostanie na 15 lat więzienia.

Jak się dowiadujemy dalej z wywiadu, masowe ujawnianie się członków nielegalnych organizacji rozpoczęło się już przed oficjalnym ogłoszeniem amnestii. Od 1 do 15 lutego ujawniło się 244 członków leśnego podziemia, w ciągu następnych 5 dni ujawniło się dalszych 104.

Film TYGODNIA

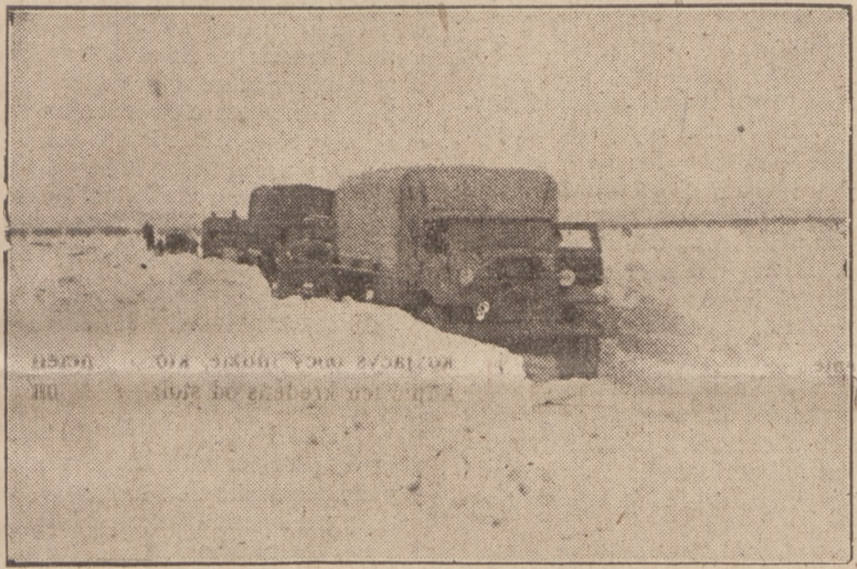
LUDZIE
o których się mówi



Warta honorowa przed pomnikiem Żołnierzy Armii Czerwonej na Pradze. Polska obchodziła uroczyście święto Armii Czerwonej w dniu 23 lutego br.



Dr Henryk Kołodziejski, zasłużony działacz i teoretyk spółdzielczości, jednomyślną uchwałą Sejmu powołany został na stanowisko Prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Z tego tytułu dr Kołodziejski wchodzi w skład nowoutworzonej Rady Państwa.



Naprzód przez zaspy. Na torach i drogach Polski, tak jak i w całej Europie trwa uporczywa walka z mrozem i śniegiem.



Były prezydent Stanów Zjednoczonych, Herbert Hoover, bardzo lubi dzieci. Niestety, ostatnio zajmuje się niemal wyłącznie dziećmi niemieckimi i po swej podróży po Europie postawił wniosek o dostarczenie większej ilości żywności dla Niemców.

Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych

Pułk. Jerzy Kirchmayer

napisał dla „Tygodnia" cykl artykułów p. t.

POLONIA AMERYKAŃSKA

(Jej oblicze — Jej serce — Jej polityka)

Pierwszy artykuł z tego cyklu w następnym numerze



Prof. U. J., K. Estreicher i mgr Bohdan Urbanowicz zostali udekorowani orderami Polonia Restituta za działalność przy rewindykacji polskich dzieł sztuki. Na zdjęciu uczeni polscy w rozmowie z prez. Bierutem.

(Fot. Film Polski).



Oto najbardziej atakowany człowiek Anglii. Jest to minister opału, Shinwell, któremu przypisują winę katastrofy węglowej, jaką przeżywa Wielka Brytania

Maria Jeruzalówna

Gehenna dzieci z Zamojszczyzny

W szeregu wielu męczarń, zadawanych narodowi polskiemu, rozpoczęli Niemcy w listopadzie 1942 r. wysiedlać ludność powiatu zamojskiego. Najeżdżali nocą wsie, zostawiali pół godziny czasu na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i wszystkich mieszkańców łącznie z dziećmi wywozili wśród listopadowego zimna do obozu rozdzielczego w Zamościu. Opustoszałe wsie obejmowały w posiadanie wraz z inwentarzem żywym i martwym rodziny niemieckie z krajów nadbałtyckich i Wołynia.

Obóz rozdzielczy w Zamościu składał się z szeregu baraków, gdzie wysiedleni znajdowali pierwszy, a tak bardzo okrutny schron wśród swej męczeńskiej wędrówki. Natychmiast po przybyciu musieli wszyscy złożyć zabraną ze sobą żywność we wskazanym miejscu, po czym udawali się na badania lekarskie. Zdrowych łącznie z młodzieżą od lat 13 umieszczano na razie w barakach. Odbywały się wtedy wręcz potworne sceny, gdy, matki, którym odebrano ich dzieci, rzucały się z gołymi rękami na strażników, gryząc i drapiąc ich do krwi. Nierzadko musieli Niemcy sprowadzać z innych miejscowości posiłki dla straży, aby opanować sytuację. Niejeden trup spośród wysiedlonych był wynikiem tego rodzaju „wzmacniania straży".

Chorzy, starcy, dzieci do lat 13 przebywały w barakach przeciętnie 3 do 6 tygodni. Za pożywienie służyła im dwa razy dziennie czarna i gorzka kawa z kawałkiem chleba, a tylko z rzadka dołączała się do tego wodnista zupa z samych jarzyn. Pomieszczenia w barakach były skandalicznie przepełnione, albowiem w jednej niewielkiej salce stłaczano do 200 osób. W tych warunkach nie mogło być mowy nawet o wyciągnięciu nóg. Nie dawano poza tym wody ani do picia, ani do mycia się, toteż w krótkim czasie poczęły się zastraszająco szerzyć choroby zakaźne jak odra, szkarlatyna, jaglica i świerzb. Wygłodzone i okryte wrzodami dzieci, a w szczególności niemowlęta umierały masowo. Trupów z pomieszczeń, z których nikomu nie wolno było się wydalać, nie zabierano wielokrotnie po kilka dni, toteż szerzenie się chorób zaczęło przybierać rozmiary pomoru. Gdy w momencie przepełnienia obozu przybywała nowa grupa wysiedleńców, dla której nie można już było znaleźć żadnego miejsca, ładowano ją do zamkniętych wagonów i wywożono w nieznanym kierunku. Wagony takie tułały się po rozmaitych stacjach, bo Niemcy sami nie wiedzieli, gdzie mają podrzucić dowody swych zbrodni, albowiem po kilkunasto-dniowych wędrówkach wagony pełne były nie tylko żywych, ale i umarłych, nad którymi najbliżsi jeszcze czuwali, oczekując na własną śmierć. Najczęstsze były wypadki puszczania w nieznane widmowych wagonów, przepełnionych prawie samymi dziećmi.

Do Warszawy pierwsze wieści, o dzieciach w zamkniętych wagonach, dotarły pod koniec grudnia 1942 r. Cała Warszawa zadrżała ze zgrozy i obok swej roli, jako stolicy kraju, odegrała piękną rolę matki swych polskich dzieci. Rada Główna Opiekuńcza otrzymała natychmiast zgłoszenia od 40 tysięcy rodzin, wyrażających gotowość przyjęcia dzieci wysiedlonych pod swój dach i nawet adoptowania tych dzieci, których rodzice zginęli. Oczekiwano na transporty. Dniem i nocą setki ludzi stały na dworcach z ciepłą odzieżą i jedzeniem, ale wagony z dziećmi nie nadchodziły. Doszły tylko głuche pogłoski, że dzieci wymarzły, lub że z powodu zbyt silnego zainteresowania się ich losem, wagony skierowano gdzie indziej, aby zapobiec rozruchom. Nastrój Warszawy był napięty do ostatnich granic, toteż Niemcy ogłosili w dniu 6 stycznia 1943 r. przez głośniki i w gazetach, że wieści o dzieciach, tułających się w zamkniętych wagonach, są nieprawdziwe i że kto je będzie rozpowszechniał, ulegnie ciężkim karom więzienia do śmierci włącznie. Ten komunikat utwierdził jedynie Warszawę w przekonaniu, że Niemcy popełnili zbrodnię na dzieciach z Zamojszczyzny, albowiem kto się usprawiedliwia, ten sam się oskarża. Dzieci były wywiezione, dzieci są gdzieś jeszcze, należy je tylko odszukać.

Dnia 5 stycznia 1943 roku dotarła do nas wiadomość, że jeden z transportów dzieci znajduje się w historycznym Stoczku na terenie powiatu garwolińskiego. Powiadomiony o tym przez nas ówczesny prezes „Społem" ś. p. Marian Rapacki, przydzielił nam natychmiast samochód celem udania się do Stoczka i sprawdzenia, czy pogłoska jest prawdziwa.



Niemcy wszystkich mieszkańców, łącznie z dziećmi wywozili wśród listopadowego zimna.

Była niestety prawdziwa. W tamtejszym „Domu Ludowym", który przedstawiał sobą widok dużego baraku, leżeli pokotem na słomie pod brudnymi łachmanami starcy, chorzy i dzieci. Obraz tych nieszczęśliwych mroził krew w żyłach. Oto w kącie stała matka, karmiąc czteromiesięczne niemowlę, przy niej czworo starszych i nieruchomych z choroby dzieci ginęło zupełnie pod przykryciem, tak ciała ich były wychudzone, a w nogach matki przysiadła z oznakami strachu może dwunastoletnia dziewczynka już na wpół obłąkana. Oto pełno wszędzie obojętnych na otoczenie dzieci, oczy głęboko zapadłe, na twarzach czarne skorupy po nieleczonej ospie, ręce i nogi obsypane świerzbem tworzą jedną ranę. Żadna twarz nie oddała nam uśmiechu.



Matkom odbierano ich dzieci

Gdyśmy stwierdzili, że Stoczek nie ma nie tylko szpitali, ale w ogóle żadnych środków leczniczych, postanowiliśmy dzieci zabrać do Warszawy.

Wytłumaczyliśmy opierającym się temu matkom, że jest to jedyny ratunek, w Warszawie bowiem dzieci będą miały tak bardzo im potrzebną opiekę lekarską, ciepło i odżywianie. Jeszcze tego samego dnia przewieźliśmy do Warszawy 24 dzieci otulonych w koce, które na szczęście zabraliśmy ze sobą. Gdy zajechaliśmy do punktu zbornego dla wysiedlonych przy Marszałkowskiej 91, a samochód nie mogąc się zmieścić w bramę przystanął na ulicy, zgromadził się natychmiast tłum ludzi, którzy rozpoznawszy zawartość samochodu zorganizowali doraźną pomoc. Rzucano do wnętrza samochodu żywność, cukierki, pieniądze, wyrażano gotowość zabrania dzieci do siebie. Sytuacja jednak stawała się groźna, ponieważ ludzi gromadziło się coraz więcej i dawały się słyszeć dosadne przekleństwa na Niemców. W każdej chwili jakiś przypadkowy patrol czy zwabiony zbiegowiskiem szpicel mógł się sprawą zainteresować i cały wysiłek ocalenia 24 istot poszedłby na marne. Udało nam się z trudem przekonać ludzi, że dzieci muszą być w pierwszym rzędzie usunięte Niemcom z oczu, a następnie oddane pod opiekę lekarską. W przeciągu 10 minut wniesiono przy pomocy przypadkowej publiczności dzieci na piętro do pomieszczeń punktu zbornego, ale ci, którzy byli przy tym pomocni, nie chcieli się już oddalić, prosząc o rozdanie dzieci między nich, albowiem w ich domach znajdą macierzyńską opiekę. Zdarzył się nawet wypadek, że ktoś dosłownie ukradł trzyletniego chłopca i uciekł z nim nie podając adresu.

Zamknąwszy lokal, wszystkie siły poświęciliśmy przede wszystkim zorganizowaniu posiłku i jak najszybszemu sprowadzeniu lekarzy. Skoro dzieci były już w dobrych rękach, późnym wieczorem udaliśmy się ponownie do Stoczka po następną partię niewinnych ofiar imperializmu niemieckiego. Wróciliśmy dopero dnia następnego, w tężejącym coraz bardziej mrozie, przywożąc dalsze 16 dzieci. Na miejscu w Warszawie dowiedzieliśmy się, że Gestapo zainteresowało się zbiegowiskiem przy ul. Marszałkowskiej 91, ale dzieci zdołano przewieźć karetkami Pogotowia do Kwarantanny Zarządu Miejskiego jeszcze tego samego dnia, którego przybyły ze Stoczka. W pół godziny potem zjawiła się w Kwarantannie grupa gestapowców, żądając pokazania im naszych dzieci. Lekarka Kwarantanny udawała, że nie wie, o co im chodzi i myliła ich czujność oprowadzaniem po innych działach dziecięcych, łącznie z oddziałem dzieci cygańskich, jednakże wśród gróźb zażądali mimo wszystko pokazania dzieci właściwych. Wtedy przytomność umysłu starego woźnego uratowała sytuację, udając bowiem domyślnego zakomunikował lekarce, w obecności gestapowców, że zapewne chodzi o przywiezioną dziś partię dzieci, chorych na tyfus. Słowo „tyfus" odstraszyło gestapowców od dalszych poszukiwań. Odeszli natychmiast, zakazując jednakże komukolwiek wydalać się z terenu szpitala, a zarazem nakazując bezzwłoczne powiadomienie ich drogą telefoniczną o nadejściu nowej partii dzieci. Osoby, któreby taką partię przywiozły, winny być zatrzymane do dyspozycji Gestapo. Gmach Kwarantanny został otoczony wywiadowcami.

(Dok. w numerze następnym)

SPÓŁDZIELCZÓŚĆ

przygotowuje się do eksportu.

Jedną z poważnych pozycji naszego eksportu przed wojną stanowiły jaja. W roku 1937 w światowym handlu jajami zajmowaliśmy dość poważne miejsce, cgniskując w swych rękach około 9 proc. światowego eksportu jaj. W tymże 1937 roku wywieźliśmy za granicę 26.000 ton jaj za 34 miliony złotych.

Rynkiem zbytu naszego jajczarstwa była przede wszystkim Anglia, gdzie plasowaliśmy połowę całego eksportu, a poza tym Włochy, Niemcy i Szwajcaria.

Obecnie po długotrwałej wojnie znajdujemy się sami w trudnej sytuacji żywnościowej i trudno mówić o eksporcie artykułów żywnościowych, z drugiej zaś strony jeżeli pragniemy pozostać nadal na rynkach zagranicznych, musimy już teraz wywalczać tam swoją pozycję, by nam jej nie zajął kto inny. Toteż spółdzielczość, w rękach której znajduje się obecnie cały handel jajczarski, mimo znacznych trudności wywiozła w roku 1946 do Anglii 2.160.000 sztuk jaj i do Szwajcarii 720.000 sztuk.

W roku bieżącym przewiduje się dalszy rozwój naszego eksportu niewielkiego jeszcze wprawdzie w stosunku do cyfr przedwojennych wobec ogromu naszych potrzeb wewnętrznych, jednakże umożliwiającego nam zdobycie na rynkach zagranicznych należnych naszemu jajczarstwu pozycji. Przewiduje się na rok 1947 wywóz do Anglii, Szwajcarii, Włoch i Francji 60.000.000 sztuk jaj, a ponadto spore ilości drobiu i pierza.

W przewidywaniu tych akcji „Społem" przystąpiło do organizacji dwóch eksportowych składnic jaj i drobiu — północnej w Gdyni dla eksportu do Anglii, Francji i państw skandynawskich i południowej dla eksportu do Szwajcarii i Włoch.

Zajęcie się przez centralną organizację spółdzielczą tym zagadnieniem gwarantuje naszemu jajczarstwu poważne perspektywy rozwoju na przyszłość.

W.

ZA KULISAMI
DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ
(Z II-GO TOMU PAMIĘTNIKÓW HR. CIANO)

Drugi tom pamiętników hr. Ciano obejmuje okres od 1-go stycznia 1941 r. do chwili, gdy pozbawiony został przez Mussoliniego teki Ministra Spraw Zagranicznych w lutym 1943 r. Notatki zięcia wodza faszystów rzucają wiele światła na stosunki między partnerami osi, a często w formie anegdotycznej, dosadnie charakteryzują uczestników wielkiego dramatu.

25.3.41. — Bismarck (z ambasady niemieckiej w Rzymie) dał do zrozumienia Anfuso (współpracownikowi Ciano), że Niemcy są w posiadaniu naszych szyfrów i czytają nasze depesze. Dobrze wiedzieć; na przyszłość przeczytają tylko, o czym **będę chciał,** by się dowiedzieli.

30.5.41. — Mussolini uniósł się gwałtownie przeciwko Niemcom z powodu stałego wtrącania się do naszych spraw w Zagrzebiu. „Niech nas zostawią w spokoju — powiedział — i niech pamiętają, że przez nich straciliśmy Imperium. Serce mi się kraje na myśl, że Francja zachowała swoje imperium, a my straciliśmy nasze".

6.6.41 — Rokowania handlowe z Berlinem pozostawiają wiele do życzenia. Mussolini jest zirytowany tym. Nadaje to jego słowom odcień antyniemiecki: „Na przyszłość będziemy prowadzili wojnę gospodarczą. Wcale się nie zmartwię, jeżeli Niemcy osłabią się w walce z ZSRR. To jest możliwe, gdyż Rosjanom nie brak sprzętu".

10.6.41 — Dziwna rocznica przystąpienia do wojny. Z powodu ingerencji Niemców w sprawy Chorwacji Mussolini wygłosił najbardziej cierpkie uwagi, jakie kiedykolwiek słyszałem: „To są kanalie bez czci i wiary. Powiadam ci, że to nie może długo trwać".

18.6.41 — Prefekt Bolzano omawiał w Niemczech sprawę południowego Tyrolu. Pod pozorem, że Hitler nie wybrał jeszcze terenów, do których ludność ma być przesiedlona, Niemcy działają na zwłokę. Prefekt jest przekonany, że Niemcy chcą zyskać na czasie, aby po wojnie narzucić ponowne rozpatrzenie zagadnienia.

30.6.41. — Mussolini znowu jest wściekły na Niemców. Obawia się, że zażądają odstąpienia Tyrolu. Oświadcza, że sprzeciwi się temu w razie potrzeby z bronią w ręku. Zdaje mi się że nie posiada sił potrzebnych do tego.

20.7.41. — Duce znowu wymyśla na Niemców. Powiedział mi dziś rano: „Zastanawiam się, czy nie należymy już do wasalów Niemiec. Nawet jeśli dziś nie jesteśmy nimi, to będziemy nimi na pewno w dniu totalnego zwycięstwa".

O SPOTKANIU HITLER — MUSSOLINI I RIBBENTROP — CIANO.

29—30.4.42. — Przyjazd do Salzburga. Sceneria jak zwykle. Hitler, Ribbentrop, te same twarze. Ulokowano nas w zamku Klessheim. Siedziba luksusowa i dobrze urządzona: meble, gobeliny, dywany, wszystko pochodzi z Francji. Nie musieli dużo za to zapłacić! Hitler mówi z Ducem, ja z Ribbentropem. W dwóch pokojach ta sama płyta...

Hitler mówi, mówi i mówi. Mussolini, który sam lubi dużo mówić, a tu musi prawie cały czas milczeć, wyraźnie cierpi z tego powodu. Drugiego dnia po obiedzie, gdy wszystko było już omówione, Hitler mówił bez przerwy przez godzinę i czterdzieści minut. Nie pominął żadnego tematu: wojny i pokoju, religii, filozofii, sztuki i historii. Mussolini patrzył mechanicznie na swój zegarek, ja pogrążyłem się we własnych myślach; jedynie Cavallero, który jest mistrzem służalstwa udawał, że słucha i ustawicznie potakiwał. Niemcy znosili sytuację znacznie gorzej. Jodl po bohaterskiej walce ze snem, zdrzemnął się na kanapie. Keitel chwiał się na krześle, ale utrzymał głowę prosto. Siedział zbyt blisko Hitlera!

2.5.42. — Podróż nasza nie wywołała szczególnego zainteresowania we Włoszech, bo wojna trwa dalej. Tylko nadzieja zawarcia pokoju mogłaby wywołać prawdziwe zainteresowanie.

18.12.42. — W kwaterze głównej Hitlera. Gdy przyjechałem nie ukrywano przede mną, ani przed moimi współpracownikami troski z powodu załamania się frontu niemieckiego w Rosji. Chciano nawet otwarcie zrzucić odpowiedzialność na nas. Hewel (współpracownik kwatery głównej), który przebywa stale w najbliższym otoczeniu Hitlera, miał następującą rozmowę z Pansa (zast. szefa protokółu we włoskim MSZ). Pansa: „Czy nasza armia poniosła wielkie straty?" Hewel: „Żadnych strat nie było. Po prostu wszyscy uciekli". — Pansa: „Tak jak wy w zeszłym roku pod Moskwą?" — Hewel: „Istotnie". (Nb. rozmowa ta była prowadzona w języku angielskim).

SROMOTNY KONIEC WODZA FASZYZMU



Trup Mussoliniego i jego kochanki po egzekucji w Medjolani

O NAPAŚCI NA ZWIĄZEK RADZIECKI.

22.6.41. — O trzeciej nad ranem Bismarck przyniósł mi list Hitlera do Duce. Zawiera on wyliczenie powodów swojej decyzji (napaści na ZSRR).

Mussolini odpowie jutro. Najbardziej leży mu na sercu udział naszych oddziałów w tej wojnie.

24.6.41. — Pierwsze oddziały włoskie wyruszą za trzy dni. Duce jest bardzo podniecony perspektywą naszego udziału w konflikcie. Dzwonił do mnie, że jutro dokona przeglądu oddziałów.

30.6.41. — Mussolini jest dotknięty sposobem, w jaki Niemcy potraktowali go w sprawie zatargu z Rosją. Z początku zachowywali absolutne milczenie, a potem obudzili go wśród nocy, aby zawiadomić o fakcie dokonanym. „Nie pozwoliłbym sobie w ten sposób budzić moich służących — powiedział Duce — ale Niemcy wyrywają mnie ze snu bez żadnego respektu". Zdał sobie nareszcie sprawę, że Hitlerowi wcale nie zależy na udziale naszych wojsk na froncie wschodnim. Mimo to bezwzględnie chce je wysłać.

O JAPONII.

25.2.42. — Pewne wiadomości wskazują na tarcia między Niemcami a Japończykami; ci ostatni byli szczególnie dotknięci pewnymi propozycjami Ribbentropa, który, jak zwykle, przybiera ton wielkiego mistrza trójprzymierza Mussolini, który jest projapoński w tej samej mierze, w jakiej jest antyniemiecki, był z tego bardzo zadowolony „Nareszcie znalazł się naród, który nie pozwala się lekceważyć i wyrywać cesarza lub premiera o drugiej w nocy z łóżka, aby go zawiadomić o decyzjach, które zostały już wykonane-"

23.5.42. — Duce telefonował do mnie oburzony na ambasadora japońskiego, Siratori, który złożył oświadczenie istotnie nieprawdopodobne. Powiedział, że Japonia powinna panować nad światem, że Mikado jest jedynym bogiem na ziemi i że Duce i Hitler powinni się pogodzić z tym faktem.

O FRANCJI I LAVALU

(9 listopada 1942 r. Laval został wezwany do Monachium, gdzie Niemcy i Włosi naradzali się w sprawie kroków, jakie zamierzali poczynić w związku z wylądowaniem Anglo-Amerykanów w Marokku. Uchwalono okupować całą Francję, ale nie powiedziano tego Lavalowi. Kilka dni później Ciano pisze w swoim pamiętniku:)

25.11.42. — Mackensen (ambasador w Rzymie) zakomunikował mi treść listu Lavala do Hitlera: ofiaruje całkowitą współpracę Francji z Osią. Ale w gruncie rzeczy, co reprezentuje Laval? Na jakiej podstawie przemawia w imieniu Francji?

19.12.42. — Laval odbył podróż, bez której mógł się doskonale obejść (do głównej kwatery Hitlera). Po dwóch dniach jazdy poczęstowano go herbatą, a potem obiadem, nie pozwalając na powiedzenie ani jednego słowa. Gdy tylko próbował coś powiedzieć, Führer przerywał mu i wygłaszał cały odczyt. W gruncie rzeczy Laval jest wstrętnym okazem Francuza, najwstrętniejszym nawet. Aby pozyskać łaskę swoich niemieckich panów, nie cofa się przed zdradą swoich rodaków i oczernianiem swej nieszczęśliwej ojczyzny. Przez cały czas powiedział tylko jedną dowcipną rzecz: że trudno mu rządzić Francją, gdyż gdziekolwiek się pokaże słyszy okrzyki: Lavala na latarnię!



O STATKACH SZPITALNYCH

(Wiele hałasu robił w swoim czasie Gebbels, oskarżając Anglików o rzekome zatapianie statków szpitalnych, wyraźnie oznaczonych znakiem Czerwonego Krzyża. Warto zaznajomić się z zapiskami Ciano, które ujawniają, do czego w istocie te okręty służyły Niemcom i Włochom)

19.5.42. — Duce nauczył się z własnego doświadczenia co można ukrywać na okrętach szpitalnych, jeżeli się chce sforsować blokadę. Ubiegłej zimy dzięki tym statkom udało się nam dowieźć do Benghazi najpilniejsze dostawy wyżywienia i paliwa.

2.9.42. — Rommel został zatrzymany w Egipcie z braku benzyny. Cavallero zapewnia, że znajdzie środki na wysłanie paliwa. Użyje zwykłych statków i okręty szpitalne (stary trick, ale czasem się udaje).

O WOJSKU I NARODZIE WŁOSKIM

29.6.41. — Również w rejonie Gimma (Abisynia) wielkie jednostki naszych wojsk poddały się ze swymi generałami na czele, mając jeszcze poddostatkiem sprzętu i amunicji. Jak powiada Moltke, i najnowocześniejsza broń na nic się nie przyda, jeżeli ją rzucić do rowu.

6.7.42. — Opowiadają mi o wielkim wzburzeniu, jakie panuje w Ministerstwach Wojny, Marynarki i Lotnictwa z powodu zachowania się Niemców w Libii. Jak się okazuje Niemcy zabrali wszystkie łupy Jedyny człowiek, któremu udało się coś wziąć dla siebie jest oczywiście Cavallero (szef sztabu włoskiego), który wszystko wysyła samolotami do Włoch

8.1.43. — Bottai (minister), mówiąc o utracie Libii, powiedział: „W gruncie rzeczy osiągnęliśmy nasz cel: W 1911 roku Mussolini wołał: „Opuśćmy Libię! Upłynęło co prawda 32 lata, ale dotrzymał słowa!"

11.7.41. — Atak lotniczy na Neapol. Nalot był bardzo ciężki, zwłaszcza ze względu na szkody materialne. Duce powiedział: „Jestem szczęśliwy, że Neapol przeżywa tak ciężkie noce. Wzmocni to naszą rasę. Wojna uczyni z Neapolitańczyków naród nordycki".

8.4.42. — Ktoś wspomniał o analfabetyzmie panującym w pewnych częściach Włoch. Na to Mussolini: „Nawet gdyby tak było, czy to ma jakieś istotne znaczenie? W XIV wieku, gdy prawie wszyscy Włosi byli analfabetami, Włochy wydały Dantego".

O KILKU WSPÓŁCZESNYCH

3.6.41. — O Keitlu. Duce powiedział: „Keitel jest człowiekiem, który jest szczęśliwy, że jest Keitlem. Bismarck wyraża się dosadnie: „Keitel to głupiec".

4.2.42. — O Goeringu. Pewien wysoki oficer powiedział wczoraj: „Ma dwie namiętności: precioza i wojnę". To kosztowne namiętności. Wyjeżdżając z Rzymu, przybył na dworzec ubrany w pelisę z gronostajów. Był podobny do mieszańca szofera z 1906 i kokoty.

2.2.42. — O gen. Cavallero. To bufon, który pokłoniłby się nawet nocnikowi, jeśli by mu to przyniosło korzyści. Nasi trzej szefowie sztabów zachowywali się wobec tego Niemca (Goeringa) tak, jakby stali przed swoim zwierzchnikiem.

Wybrał i przełożył

Władysław Pawlak

Dr Marcin Woyczyński

OKRUCHY WSPOMNIEŃ

Trzykrotnie dr Marcin Woyczyński, osobisty lekarz Piłsudskiego, przystępował do spisywania swych wspomnień. Pierwszy egzemplarz jego pamiętników zarekwirowany został przez Sławoja - Składkowskiego, dokonywującego osobiście jako minister spraw wewnętrznych rewizji w mieszkaniu państwa Woyczyńskich, nazajutrz po śmierci Piłsudskiego. Wydaje się pewnym, iż przyczyną tej rewizji i kilkodniowego aresztowania pani Woyczyńskiej była obawa przedostania się do wiadomości społeczeństwa stwierdzenia prawdy, iż Piłsudski bynajmniej nie wyznaczył żadnego swego następcy, a tym bardziej zastępcy w osobie Rydza - Śmigłego.

Rękopis pamiętników dr Woyczyńskiego, zabrany przez Sławoja-Składkowskiego, zaginął lub też — co pewniejsze — został zniszczony.

W roku 1939 — 40, przebywając w Wilnie dr Woyczyński przystępuje powtórnie do opracowania od nowa swoich pamiętników. Ale jadąc do Warszawy i obawiając się niemieckiej rewizji, pozostawia je w skrytce swego kantorku. Niedługo potem otrzymuje wiadomość, że złodzieje, którzy grasowali w jego mieszkaniu, rozbili także sekretarzyk, ale nie wiadomo, czy odnaleźli skrytkę. W ten sposób pamiętniki giną po raz drugi i może nigdy już nie będą odnalezione.

Przebywając w czasie okupacji w Warszawie, za namową swych przyjaciół, dr Woyczyński po raz trzeci rozpoczyna pracę. Ale ciężko już wówczas choremu zabrakło sił. Z zamierzonego pamiętnika pozostały tylko dwa fragmenty, z których jeden udało się ocalić ze zniszczonej Warszawy. Ten właśnie drukujemy jako ciekawy przyczynek do naszej historii ostatniego okresu.

Byłem używany najczęściej do wywiadów, jako że prezentowałem się bardzo przyzwoicie, musiałem być porządnie ubrany, garnitur od dobrego krawca, melonik angielski, złota dewizka (za 50 kop.) na wcale wydatnym brzuszku. A kto zna mój poczciwy wyraz twarzy, zrozumie, że wygląd mój nigdy na ulicy nie wzbudzał żadnego podejrzenia. To też często mogłem pchać się bezkarnie tam, gdzie ktoś inny by wpadł.

Ale czasem i ja wzbudzałem pewne zastrzeżenia. Pamiętam, posłał mnie Wydział do Tomaszowa Rawskiego na wywiad do tamtejszego oddziału Banku Państwa. Trzeba się było wywiedzieć, jaka jest ochrona, gdzie jest skarbiec, jak się do niego można dostać itd. Otóż zwykle wszystkie interesy załatwia się przy okienkach. Jak więc zmusić urzędników, żeby przy mnie ktoś poszedł do skarbca, do którego w ogóle rzadko się wchodzi w ciągu urzędowania? A znowu nie można po kilka razy dziennie chodzić do banku, po tę by zwróciło na mnie uwagę. Ale udało mi się. Wszedłem do Banku i zażądałem renty państwowej, która, jak przypuszczałem, przechowuje się w skarbcu, bo to papier, rzadko żądany przez interesantów. I rzeczywiście. Jakiś urzędnik poszedł po drugiego, we dwóch przy mnie otworzyli drzwi pancerne do skarbca. Widziałem, skąd brali klucze, jak otwierali. Rentę mi dali, lecz ten drugi zrobił zdziwioną minę i zapytał, na co mi renta. Na szczęście pierwszy urzędnik wyręczył mnie, odpowiadając, że to pewno na kaucję, co ja skwapliwie potwierdziłem. Ale ten, pomimo to, miał minę tak nieufną, że mi się już przykro zrobiło, żeby mnie nie kazał legitymować się i nie chciał sprawdzić, na co mi ta kaucja potrzebna — i wtedy bym wpadł. Ale jakoś upiekło się i tym razem. Może też mój wygląd pomógł.

Poza wywiadami byłem posyłany z różnymi „specjalnymi poleceniami", ale w żadnej akcji czynnego udziału nie brałem. Nie wolno mi było. Dopiero w końcu los rzucił mnie do wzięcia udziału bezpośredniego. A było to tak.

MÓJ ZAMACH NA SKAŁŁONA

Któregoś dnia na „biurze" Ziuk dał nam do zrozumienia, że w krótkim czasie ma zamiar zlikwidować bojówki. Uderzyło to we mnie jak grom z jasnego nieba, a człowiek tak wszedł w tę robotę, tak się w niej pogrążył i tylko nią żył, że trudno było się pogodzić z myślą o czymś innym, o jakimś innym życiu, o przedzierzgnięciu się w zwykłego obywatela.

Oponowałem więc, twierdząc, że jeszcze jest dużo do zrobienia. — „O czym myślicie?" pyta Ziuk. — „A chociażby o Skałłonie" mówię. Ziuk się zamyślił. „A podjęlibyście się tego?" „Owszem" mówię. „No to jutro pomówimy, musicie dać plan roboty". — Na drugi dzień ten plan przedstawiłem.

Skałłona wtedy w Warszawie nie było — bawił na urlopie w Petersburgu. Najprościej, moim zdaniem, było „zrobić" go po drodze, rzucić bombę w jego wagon, a najlepsze miejsce do tego — Wilno. Wilno słabo było pilnowane, teren dla nas dobrze znany, a więc odwrót łatwy, a jako miejsce zamachu podałem most nad koleją, o jakie pół kilometra od dworca. Potrzebna mi do tego jedna piątka towarzyszy i ktoś w Petersburgu, kto by zawiadomił nas o wyjeździe. Wydział plan ten zaaprobował jako zupełnie rzeczowy i nietrudny do wykonania.

Na drugi dzień byłem już z przydzieloną mi piątką w Wilnie. Znalazłem łatwo mieszkanie dla towarzyszy, a sam zamieszkałem u siostry na kolonii kolejowej na Rosie. Ma się rozumieć, nikt z nas się nie meldował, żeby nie pozostawić po sobie śladów dla policji, no i czekamy na wiadomość od towarzysza B., który był wtedy w Pskowie, a miał tam pilnować przejazdu i depeszować. Teren obejrzeliśmy dobrze. Most był zupełnie niestrzeżony, ani w bliskości żadnego policjanta nie było. Czekałem tak tydzień, sam codzień bywając na dworcu, żeby nie przegapić jakiejś okoliczności. No i nic, cisza, spokój, o przejeździe nic nie słychać.

Zniecierpliwiło mnie to i pojechałem sam do Petersburga, zasięgnąć wiadomości. Zatrzymać się musiałem w hotelu. Wybrałem „Franciuski" — miał podobno dobrą opinię w sferach policyjnych. Ale nie bardzo mi się podobało, że na drugi dzień pokojówka przemówiła do mnie po niemiecku, bo miałem paszport austriacki. Na szczęście potrafiłem jej po niemiecku odpowiedzieć, ale uważałem to za próbę sprawdzenia, czy jako Austriak znam język niemiecki.

Zacząłem się ostrożnie dowiadywać przez znajomych o miejsce pobytu Skałłona i łatwo się dowiedziałem, że mieszka w jednym z pałaców petersburskich. Przejrzałem w kawiarni książkę telefoniczną, znalazłem pałac, kilka telefonów do niego, między innymi do adiutantury. Nie zwlekając, skorzystałem z budki telefonicznej w kawiarni i zatelefonowałem do adiutantury. Bezczelnie spytałem, czy p. generał Skałłon jest jeszcze i kiedy wyjeżdża. Odpowiedział mi jakiś głos męski, że jeszcze dzień wyjazdu nie jest oznaczony, ale że wkrótce już ma wyjechać, lecz zaraz mnie spytał, po co mi ta wiadomość. Więc odpowiedziałem, że chcę wnieść podanie do p. generała. Mego rozmówcy to widocznie nie zdziwiło, poinformował mnie nawet, w jakich godzinach najlepiej to zrobić. Niewiele się dowiedziałem, ale tylko tyle konkretnie, że wkrótce jedzie. Dobre i to, więcej się nie dowiem, trzeba wracać na posterunek.

Na drugi dzień byłem w Wilnie i zacząłem jeszcze pilniej obserwować pociągi, trzymając piątkę [illegible] w ciągłym pogotowiu. Po kilku dniach nareszcie nadeszła depesza, ale nie od mego tow. B. z Pskowa, który przegapił przejazd, ale z Petersburga, bo tam też znalazłem znajomą, która mi obiecała pilnować odjazdu i zawiadomić. Miałem bardzo mało czasu na ostatnie zarządzenia, wysłałem ludzi na most na czas przejazdu pociągu, a sam poszedłem na dworzec, żeby jeszcze sprawdzić, czy rzeczywiście „jedzie". Pociąg już był na dworcu, tylko co przyszedł, w środku salonka z zasłoniętymi firankami w oknach. Zdziwiło mnie to, spytałem zaraz przechodzącego kolejarza, czy to Skałłon jedzie tą salonką. „Nie", mówi, „tylko co przejechał wojskowym pociągiem, a to jego pusta salonka." Pociemniało mi w oczach, a ludzie czekają i wysadzą z mostu tę salonkę i poranią Bogu ducha winnych. Rzuciłem się jak wściekły z dworca, miałem tylko kilka minut czasu, wpadłem do dorożki. „Galopem do mostu!" krzyknąłem i tylko ręką mogłem wskazać kierunek. Na szczęście dorożkarz, nic nie pytając, popędził konia i pędziliśmy tak przez pustą na szczęście ulicę Kolejową. Myślałem tylko: „zdążę czy nie zdążę?", a już słyszałem doganiający nas z tyłu pociąg; kiedyśmy dojechali do mostu, lokomotywa pociągu już wchodziła pod most, ludzie stali na stanowiskach, jeden z towarzyszy trzymał jakąś paczkę w papierze...

Zeskoczyłem z dorożki, rzuciłem się do tego towarzysza i powstrzymałem go. Pociąg spokojnie przejechał. Wytłumaczyłem, o co chodzi i kazałem tego samego dnia wracać do domów. Towarzyszka odezwała się: „A ja już kapelusz rzuciłam za płot, żeby nie przeszkadzał w odwrocie". Inni milczeli i za chwilę odeszli. Ja siadłem do dorożki i kazałem się wieźć... do kościoła św. Jana. Tam odprawiłem dorożkę i na wpół przytomny powlokłem się na Rosę.

Tego samego dnia wyjechałem do Warszawy. Byłem bardzo nieszczęśliwy, miałem gorączkę. Tyle zabiegów, pracy, starań, niebezpieczeństwa i wszystko na nic. Dobrze, że nikt z nas nie wpadł i cało wróciliśmy do domów. Ale policja czy żandarmeria w Wilnie jednak coś przewąchała i u państwa N. zrobili rewizję w jakiś czas potem, kiedy już nas dawno nie było w Wilnie i trochę plotek było w mieście o bombach, o przygotowanym zamachu, a przecież zdawało się, że nikt nie powinien był nawet się domyślać.

PANI MANIA

Po likwidacji bojówki pepesowej wyjechałem z Warszawy na Podole; miałem nadzieję, że uda mi się tam przechować i osiąść dla stałej praktyki. Osiadłem w Jarmolińcach, ale pamiętając swoją brudną (polityczną) przeszłość, na wszelki wypadek umówiłem się z Fociem Czerwijowskim, że w razie wsypy w Warszawie, która by i mnie mogła zaczepić, zawiadomi mnie jakaś obojętna depesza. Po paru miesiącach błogiej praktyki na wsi, rzeczywiście taką depeszę dostałem.

Trudno, zrozumiałem, że znowu muszę udać się pod skrzydła opiekuńcze Austrii, bo mi tu żyć nie dadzą. Poszedłem więc zaraz z paszportem do prystawa z prośbą (dołączyłem 1 rubla), żeby mi dał przejazd przez granicę, tłumacząc, że dostałem pilną depeszę i zaraz muszę wyjechać. Tego samego dnia otrzymałem z powrotem poświadczony paszport i wyjechałem, zostawiając matkę staruszkę dla zlikwidowania mieszkania. W parę dni później byli żandarmi z rewizją i bardzo żałowali, że mnie już nie było. Próbowałem osiąść na Śląsku, parę miesięcy pracowałem w „fizykacie krakowskim", ale w końcu jednak wróciłem do Zakopanego.

Byłem w fatalnym nastroju, ciężkie przeżycia osobiste zrobiły ze mnie odludka, nie komunikowałem się ze starymi znajomymi, toteż mało się orientowałem w ich stosunkach. Kiedyś tylko, będąc u Ziuków w Krakowie, zauważyłem, że coś w ich małżeńskich stosunkach się popsuło, ale zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Niedługo potem dostałem list od Ziuka, że chciałby przyjechać na odpoczynek do Zakopanego i zamieszkać u mnie z żoną. Wykombinowałem sobie, że właśnie dobra będzie okazja dania mu odpoczynku ale bez żony. Jeżeli tam są jakieś nieporozumienia, to właśnie niech posiedzi jakiś czas sam i w tym sensie napisałem do niego. A na to dostałem bardzo ostry list, żebym się nie wtrącał w jego osobiste sprawy, i zrywający stosunki ze mną.

Wtedy dopiero zrozumiałem, że wpadłem w coś poważnego, ale nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Wkrótce też dostałem list od p. Marii (żony) z wyrzutami, że nigdy się nie spodziewała, że zechcę stanąć przeciw niej. I dopiero po widzeniu się z Prystorem, który mi wyjaśnił, o co chodzi, a co było dla mnie niespodzianką, zrozumiałem. Okazuje

(Dokończenie na str. 13)

Louis Aragon

Tłum. Maria Wisłowska

SPOTKANIE W VALENCE

Park miejski w Valence wznosi się nad wielkim tarasem — promenadą, przy którym zbiegają się bulwary. W górę ku parkowi wiodą okazałe, białe schody. Park ten przypomina Park Monceau w Paryżu, choć bez jego sztucznych ruin. Są w nim strumyki, są kręte alejki, a po prawej stronie, nieco niżej — nawet ogród zoologiczny w zaczątku: ptaszki, sarenki, klatki oszklone i kryte słomą. Stoją w parku wytworne posągi, stoi obelisk, wiją się zaciszne ścieżki dla zakochanych par. Przychodzą tu mamusie nudzić się i marzyć, bawią się wrzaskliwe dzieciaki, rozsiadają się starzy bywalcy, mijają nieznani przechodnie. Jest to prawdziwy, bujny zielonością, raj dziecięcy, lecz na zalane słońcem gazony i klomby pada kolisko cieni: rok 1943, po mieście wałęsają się nienawistne szaro - zielone mundury i policjanci ubrani na czarno. Tu jest oaza — w pustyni nieszczęścia, jakie spotkało Francję.

Dalej, w głębi płynie Rodan — żółty, niespokojny, kryjący tajemnice i ciała ludzkie, Rodan, wymęczony wielokrotnymi inwazjami... Nad brzegiem rzeki widać zamek Crussol, dziwaczne ruiny, sterczące na szczycie góry.

Dzień jest chłodny i chmurny, park winien być raczej opustoszały. A jednak sporo dzieciaków bawi się na żwirze ścieżek, pomiędzy klombami. Na jednej z ławek dostrzegam panie C... Dziś rano przyjechały z tego samego miasteczka co ja, tym samym autokarem. Byłoby lepiej, żeby mnie nie widziały — z tym panem, z którym za chwilę mam się spotkać. Oczywiście, o ile on przyjdzie. Tego nie można nigdy przewidzieć z góry. Dwa zapowiedziane spotkania nie doszły do skutku. Jakieś uchybienie w łączności, komplikacje związane z życiem podziemnym, regulamin konspiracji... Klnę na regulamin konspiracji, ale jednak jestem mu posłuszny.

Jest jeszcze wcześnie. Nie znam terenu. Wchodzę na taras, pewnym krokiem po białych schodach. Przechodzień, który się błąka, zwraca na siebie uwagę. Panie C... nie posiedzą zapewne tu długo.

Starsza córeczka jest bardzo ładna. Ma chyba nie więcej niż trzynaście lat. Na tarasie stoi pomnik z zielonkawego bronzu — pomnik generała Championnet, zwycięzcy spod Pouilles, twórcy republiki partenońskiej.

Nie wiem, co nadaje tyle przedziwnego piękna tej monumentalnej postaci, nadwyrężonej przez deszcze i wichry: czy zaklęty w ten pomnik poryw czy też siła tego żołnierza demokracji, który stoi tu jako milczący protest Francji przeciwko najeźdźcom.

(Zburzyli ten pomnik w kilka miesięcy później, pomnik, będący ucieleśnieniem chwały republikańskiej — gdy nazwy miast wyryte na cokole: Volturno, Neapol, Salerno — w oczach ciemnych żołdaków zaczęły nabierać nowego, palącego sensu... Ściągnęli go na sznurach, zrzucili na ziemię, rozbili piedestał — ujrzałem na ziemi gigantycznego bohatera, powalonego z większą łatwością w Valence, aniżeli nad rzeką Volturno...).

Siadam na żelaznym krześle, pod drzwiami tarasu, widzę stąd schody biegnące w dół do parku. Z tego miejsca łatwiej będzie mi dostrzec owego pana, na którego czekam, zanim znajdzie się na miejscu umówionym. Ten pan nie zna Valence, nie przyjdzie więc od strony bramy nad Rodanem. Wiem, w jaki sposób będą mu objaśniali drogę: te same słowa są zawsze używane przez tych samych ludzi. Jak on może wyglądać? Zabawimy się w odgadywanie. Przejdzie naukos przez plac, od strony dworca. Będzie się przyglądał pomnikowi Championneta. Fatalnie. Będzie się wahał w wyborze między dwiema kondygnacjami schodów, wybierze główną. Jeszcze trzy minuty, a zobaczę go spłoszonego. Nie, to jeszcze nie on. Jest lekarzem, powinien więc być punktualny. Nie, to nie może być ten grubas, który idzie z tamtej strony. Ani ten także — jest za młody. Jak też on wygląda?

Nie miał chyba powodu ucharakteryzować się specjalnie. Nikt go nie zna w tej okolicy. Wiem, że ma wyglądać jak lekarz kliniki uniwersyteckiej w Paryżu. Ale jak wygląda lekarz kliniki uniwersyteckiej w Paryżu?

Jeżeli o mnie chodzi, znalazłem sposób, żeby zmienić swój zwykły wygląd: zacząłem nosić kapelusz. Nie mogę farbować sobie włosów, jak ten biedaczysko Jerzy, który ma teraz głowę rudą jak marchewka i sądzi, że nikt go nie poznaje. Gaston zapuścił sobie wąsy — mnie zarost nie zmieniłby ani trochę, mam wszystkiego cztery włoski pod nosem. Najbardziej charakterystyczny dla mojej twarzy jest układ włosów. Gdyby ktoś mnie rozpoznał i spostrzegł, że farbowałem sobie włosy albo że zapuściłem wąsy, groziłoby mi podejrzenie, że ukrywam się umyślnie. A tak, kapelusz zmienia mnie najlepiej. Od dwudziestu lat nikt nie widział mnie w kapeluszu. Kapelusz zakrywa czoło, charakterystyczne uwłosienie...

Kupiłem sobie w Valence kapelusz, koloru jasno-piaskowego. Wybór kapelusza odbywał się z całą pompą: asystował mi przy tym Gautherot, (tak się wówczas nazywał), ale zachowywał się nieznośnie: nie mógł pohamować śmiechu, śmiał się, pokładał się ze śmiechu, gdy zobaczył mnie w tym kapeluszu... Był nieznośny

O to ten. Na pewno ten. Idzie od srony dworca, przeciął plac naukos, ogląda pomnik Championneta. Musi być krótkowzroczny. Waha się w wyborze pomiędzy dwiema kondygnacjami schodów. Decyduje się na środkowe... Jest raczej słusznego wzrostu. Lekko przygarbiony. Tak, to może być lekarz kliniki uniwersyteckiej w Paryżu Wstaję, idę za nim. Widzę, że siada na krześle, na prawo, wyjmuje z kieszeni gazetę... Tak, to on.

Jestem obok niego. Już usiadł. Panie C.., jeszcze siedzą w parku. Ale zajęte są rozmową z kimś, kogo nie znam; nie zauważyły, że powróciłem. Ta mała jest naprawdę śliczna...

(W rok później, gdy bestie niemieckie znalazły się w naszym miasteczku... Widziałem tę małą umierającą, miała włosy rozrzucone na poduszce, mała dziewczynka nieziemskiej urody... Matka nachylona nad nią odganiała muchy, które mogłyby zmącić sen dziecka... Była noc, a niebo gorzało fantastycznym blaskiem w ogniu bombardowania. Noc, która odtąd stała się nocą wieczystą dla tej matki).

Siedzi więc. Tak jak było umówione, zdjął czarny kapelusz i położył go na ławce obok siebie. W drugiej ręce trzyma dopiero co kupioną, jeszcze niezmiętą gazetę „Le Petit Var". Nie wygląda to wszystko razem ani po prostu, ani naturalnie.

Tak, to nikt inny, to mój lekarz z Paryża. Ażeby się upewnić, trzeba mu zadać umówione pytanie (z góry znałem odpowiedź):

— Przepraszam pana, czy to z tej strony płynie Izera?

— Tak jest — odrzekł, wstając — z tej strony, właśnie stamtąd idę...

Ruszyliśmy razem w stronę Rodanu, obaj skonfundowani naszą ignorancją w dziedzinie geografii. Nie pamiętam już, jakie słowa padły między nami w ciągu tych pierwszych chwil spotkania — słowa błahe, nieużyteczne, lotne; spoglądał na mnie z ukosa, z mieszaniną niepokoju i respektu, jakie zawdzięczałem temu, że nie wiedział, nie miał najmniejszego pojęcia, kto obok niego kroczy. Powiedziano mu:



Rys. Irena Kuczborska.

Ruszyliśmy razem w stronę Rodanu.

— Pojedziesz do Valence, pójdziesz do parku, siądziesz na ławce po prawej stronie, a tam...

Na pewno powiedziano mu w ten sposób, tykając go bezceremonialnie — jego, doktora z Paryża...

Spojrzał bokiem na mój kapelusz barwy mlecznej kawy. Był gotów zrobić wszystko, co mu każe, co każe mu zrobić nieznajomy, kroczący obok niego po parku...

— Siadajmy tu — zaproponowałem.

We wszystkich ogrodach publicznych Francji stoją zamiast ławek krzesła żelazne, pomalowane na żółto, z siedzeniami podziurkowanymi koncentrycznie. Takie same krzesła stoją na Champs - Elysees; bawiłem się tam, będąc dzieckiem. Mój rozmówca wyglądał zbyt młodo jak na lekarza kliniki uniwersyteckiej. Przypomniałem sobie, że rzeczywiście był on najmłodszym z lekarzy kliniki. Czoło miał wprawdzie łysiejące, ale oczy o barwie jasnobłękitnej, takiej, jakie spotyka się u dzieci.

— Kazano mi przyjechać, więc przyjechałem. Muszę się przyznać, że poza tym nie wiem nic, absolutnie nie. Będę robił to, co pan mi powie. Nie wiem, jakiego to rodzaju będzie robota. Od dwóch lat jestem w Saint - Tropez i w okolicy, na wybrzeżu, robiłem rozmaite rzeczy, wszystkiego po trochu... Kazano mi przyjechać... Więc jestem...,

Gazetę wpakował do prawej kieszeni. kapelusz włożył na głowę. Dozorca minął nas, popatrzył na nas. W pewnej odległości od nas siedział jakiś pan w nieprzemakalnym płaszczu, w czarnym kapeluszu. Siedział nieruchomo. Nie, ten pan nie podobał mi się. Być może, że to Armeńczyk. Od Armeńczyków roi się w Valence.

Pochyliłem głowę i zacząłem wyjaśniać doktorowi Gilbertowi Dreyfusowi, czego spodziewam się po nim, dlaczego przysłano go z Saint - Tropez do mnie do Valence.

— A więc pan życzy sobie — rzekł — żebym pracował jako lekarz?

W głosie jego zabrzmiał żal. Był gotów na wszystko. Był gotów wysadzać pociągi, włamywać się do urzędów pocztowych, atakować kolumny wojsk niemieckich. Ale pracować jako lekarz... Nie, ten plan rozczarował go... Taki szmat drogi po to, by usłyszeć, że ma pracować jako lekarz...,

(Gdy później znalazł się w Mauthausen, musiał wahać się podobnie: zadawał sobie pytanie, czy to słuszne, żeby ujawnił się jako lekarz — że w ten sposób może uniknie losu innych, że nie będzie narażony na takie samo niebezpieczeństwo, jak inni, że będzie korzystał z pewnych przywilejów...).

— Próbowałem wszystkiego, imałem się każdej roboty tam w Saint - Tropez... Przewoziłem dynamit, i gdyby pan zechciał..,

Nie, tego nie chciałem. Musi pracować jako lekarz. Tylko jako lekarz. Potrzebny mi lekarz, doktór z kliniki paryskiej, do tej roboty. Będzie musiał wkręcić się między lekarzy. Musi zorganizować lekarzy. Chodzi właśnie o to, aby zorganizować lekarzy. Co to znaczy: zorganizować lekarzy? Po co organizować lekarzy? Potrzebna jest organizacja wśród lekarzy... ponieważ... trzeba żeby się zorganizowali.., to znaczy... Chodzi o ruch oporu, o maquis, nie ma nic ważniejszego niżeli sprawa maquis... Trzeba wyszukać lekarzy, trzeba im powiedzieć... przekonać ich... Nie, to nie dla pana robota. Pan, pan będzie kierował całością. Będzie pan miał pod sobą ludzi, którzy pójdą, gdzie trzeba, którzy odwiedzą lekarzy.., Oczywiście, że i pan będzie widywał się z kolegami, z pewnością... Pan sam...

Armeńczyk na krańcu alei, nie ruszał się z miejsca. Nie podobał mi się jego płaszcz nieprzemakalny, jego czarny kapelusz, jego wąsiki... A może to taki Armeńczyk jak my? Jak byłoby lepiej: gdyby był, czy gdyby nie był na prawdę Armeńczykiem?

Trzeba było omówić imię dla nowego pracownika, odpowiedzialnego za lekarzy, imię w języku naszej organizacji. Ja na przykład nazywam się Gerard. Pięknie. A on — Gilbert... Wolałby zachować to swoje imię prawdziwe. Ma papiery na nazwisko Gilbert Debrise. Gilbert Debrise, literat. Doskonałe papiery. Co to są doskonałe papiery? To takie dokumenty, które znajdą pokrycie, w razie śledztwa: zarejestrowane w merostwie, lub jeszcze lepiej w prefekturze policji, zaopatrzone w stały adres, a w mieszkaniu znajdzie się ktoś, kto poświadczy ich prawdziwość, kto zaręczy...

Były to doskonałe papiery, autentyczne, należące do osoby żyjącej, która obecnie znajduje się w Afryce Północnej i nie potrzebuje tych dokumentów. Osoby autentycznej, z adresem, z kartami żywnościowymi, ze stanem cywilnym, z metryką, z przeszłością, ze stosunkiem do służby wojskowej... Świetne dla Gilberta.

(Gdy Gilberta aresztowano, papiery wytrzymały próbę — wytrzymały tak znakomicie, że nikt się nie domyślił, iż Gilbert jest Żydem, Gilbert Debrise został wysłany do Niemiec i nikt ani przez chwilę nie powątpiewał w autentyczność jego dokumentów, takie były solidne, porządne, niepodlegające dyskusji...).

Spostrzegłem odrazu, że jednak było coś, co nie „klapowało". Ale co? Przecież nie strach przed tym, czego od niego wymagałem. Na odwrót, widać było, że jest zawiedziony. Polecono mu robotę mało ryzykowną, nie grożącą niebezpieczeństwem... Była w tym człowieku gorąca gotowość do ofiar. I był w nim niemniej widoczny szacunek dla organizacji. Dla organizacji, którą reprezentowała moja osoba. A więc, o co idzie? Dlaczego jakoś nie wszystko się układa? Wobec czego on ma wątpliwości? Wobec mnie, oczywiście. Tylko wobec mnie. Nic innego.

Chodzi więc o moją osobę.

Co tu robić? W jaki sposób wytłumaczyć temu panu doktorowi z kliniki paryskiej, że powinien mieć zaufanie do mnie, do nieznajomego w kapeluszu barwy jasno-kawowej, do kogoś, kto nagle wynurza się jak z mgły i narzuca mu pracę — może pożyteczną, a może całkiem zbędną...

Oświeciła mnie pewna myśl. Ale cóż, byłoby to sprzeczne z zasadami bezpieczeństwa, z regulaminem konspiracji. A ja żywiłem wielki respekt dla regulaminu konspiracji... Przynajmniej powinienem był żywić. Mniejsza o to. Nie ma innego sposobu. Nie będę tracił czasu na tłumaczenie mu i perswadowanie. Nie podoba mi się ten facet w nieprzemakalnym płaszczu, który teraz oto ulokował się z drugiej strony, za krzakiem, który go źle zasłania, widzę wciąż jego czarny kapelusz. Nie, nie ma innej rady.

(Dokończenie na stronie 11).

NAGRODA „TYGODNIA"

za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945—46

1-go marca upływa ostateczny termin zgłaszania przez naszych Czytelników kandydatur do nagrody „Tygodnia" za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945 — 46. Przy kwalifikowaniu kuponów do głosowania brać będziemy pod uwagę datę stempla pocztowego.

W pierwszych dniach marca nastąpi obliczenie głosów i ustalenie wyników głosowania. Wyniki te przedstawione zostaną Sądowi Konkursowemu, który na zaproszenie redakcji „Tygodnia" zbierze się około połowy marca i powezmie decyzję w sprawie przyznania nagrody.

Grzegorz Timofiejew

CZARNA JAK DIABEŁ I SŁODKA JAK MIŁOŚĆ



To nie kobieta. To kawa, wedle określenia jednego z wybitnych polityków XIX-go wieku. Wonny dar Arabii przenika umysł największych artystów i polityków, stanowiąc źródła inspiracji. Wschód od dawna znał wpływ kawy, jej podniecające działanie na umysł i na zmysły.



Balzac.

Wypiwszy kilka filiżanek kawy jakoś się lepiej gwarzy, umysł lepiej pracuje, myśli szybciej biegną i język się rozwiązuje. Mędrcy wschodni ochrzcili kawiarnie mianem „Szkół mądrości".

Kawa pochodzi ze Wschodu. Prawdopodobnie z Arabii. Powiadam — prawdopodobnie — gdyż niektóre źródła wskazują na Abisynię jako ojczyznę mokki. Czas wynalezienia picia kawy jest bardzo odległy. To nie przywilej kultury. Już narody niecywilizowane piły kawę i używały innych narkotyków. Widocznie poza naturalnymi środkami żywnościowymi, potrzebnymi ciału do utrzymania sił, organizm wymaga jeszcze innych składników — pod-



Fontenelle.

niecających. Wszystkie prawie ludy pierwotne używają różnych środków podniecających. Instynkt wskazał im rośliny, które tych środków dostarczyły. Tak „odkryto" herbatę w Chinach, mate w Ameryce południowej, guaranę w Brazylii, kakao w Meksyku, orzeczki cola i napój z nich — w Afryce. I tak też „wynaleziono" kawę w Arabii. We wszystkich tych roślinach, z sobą niespokrewnionych, znajdujemy składnik chemiczny — kofeinę, która wywiera wpływ ożywczy i podniecający na organizm.

Dla tej prostej przyczyny kawa przekroczyła granicę swojej ojczyzny i triumfalnie zawładnęła światem. Królowała na giełdach i powodowała kryzysy. Wzbogacała fortuny milionerów i była ważną pozycją w rozgrywkach kolonialnych.

Ale była też kawa napojem mędrców i poetów i do dziś zresztą stanowi przysmak artystyczny kawiarni. Wiele dzieł i pomysłów rodziło się pod aromatycznym tchnieniem mokki. Bez kawy nie powstałaby zapewne „Komedia ludzka" Balzaca, który w życiu swoim wypił pono 50 tysięcy szklanek wonnego narkotyku. Kawa wyśmienicie parzona była w domu wielkiego twórcy francuskiego, wprost przysłowiowa, ale też Balzac potrafił obiegnąć cały Paryż w poszukiwaniu odpowiednich gatunków. Zazwyczaj mieszał trzy rodzaje kupione u różnych sprzedawców. A że ci mieszkali nieraz w różnych częściach miasta, więc Balzac nieraz wystawiał siebie na drwiny przyjaciół, którzy nie umieli zrozumieć takiej namiętności w doborze mieszanki kawowej.

Do gorących wielbicieli czarnej kawy należał Mickiewicz. Wydając „Pana Tadeusza", znał już różne kraje, jak: Rosję, Turcję, Niemcy, Szwajcarię, Francję i Włochy, więc smakował po różnych ziemiach „boskiego napoju" — a jednak w „Panu Tadeuszu" chwali ponad wszystkie inne polską czarną kawę. Ściśle mówiąc kunszt zaparzania kawy w Polsce. Czytamy w księdze II:

„— Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju.
W Polsce w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin bierze ziarnka w najlepszym gatunku
I zna tajne sposoby gotowania trunku.
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach mokki i gęstość miodowego płynu."

W „boskim napoju" rozsmakował się wielki wolnomyśliciel Wolter. Gdy ktoś w jego obecności nazwał kawę trucizną, Wolter roześmiał się: „Tak, musi to być trucizna rzeczywiście, bardzo powoli zatruwająca, gdyż piję ją już przeszło siedemdziesiąt lat".

Fontenelle jeszcze w setnym roku swego życia zachwycał się kawą: „Ogrzewa me serce jak ukochana matka, jak dobry przyjaciel ożywia me myśli, jak wierna żona do końca życia upiększa me dni".

Humorysta angielski, Sydney Smith, radzi: „Jeśli chcecie mieć lepszy rozum, to pijcie kawę. To jest napój intelektualizmu".

Nie tylko poeci zachwycali się kawą. Była ona nieodstępną kochanką polityków. Talleyrand mawiał, że od dobrze przyrządzonej kawy wymaga, aby była ona: — „Czarna jak diabeł, gorąca jak piekło, czysta jak anioł, słodka jak miłość". Napoleon zaś był zdania, że „mocna kawa i wiele kawy, to mnie orzeźwia, ogrzewa, daje mi siły i żywą emocję".

Przez swą namiętność do czarnej kawy byłby Napoleon pod Waterloo dostał się bezmała do niewoli. A miało się tak. Po przegranej bitwie chciał się jeszcze koniecznie napić kawy, którą mu nawet wśród najgorętszych walk parzono na podręcznej, zawsze za nim wożonej kuchni. Uniknął podobno niewoli tylko dlatego, że jakaś zabłąkana kula wytrąciła z rąk mameluka podawaną już filiżankę. Było to groźne ostrzeżenie, że nieprzyjaciel jest tuż. Wówczas, porzucając kawę, generałowie uprowadzili Napoleona i uchronili go przed niewolą.

Wielbicielem kawy był także Rousseau, który tak cenił jej aromat, że otwierał wszystkie okna i drzwi, gdy w pobliżu palono czarne ziarna.

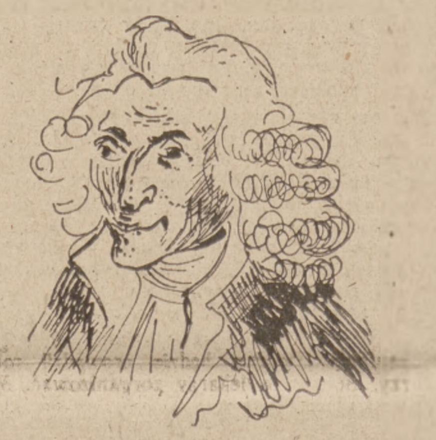
Biograf Kanta podaje, że w ostatnich latach życia jednym z większych utrapień niemieckiego filozofa było, jeśli w czasie dyskusji nie mógł się doczekać aż mu podadzą świeżą kawę, którą ogromnie lubił i której pił wiele, choć zapominał o niej w ferworze rozmowy.

Kiedy mu zwracano uwagę, że kawa wystygła, wówczas mawiał: „Wnet przejdę w zaświaty, wówczas już kawy pić nie będę i też na nią czekać nie będę potrzebował".

Sebastian Bach skomponował na cześć kawy kantatę. Beethoven należał również do wielkich amatorów kawy. Najchętniej sam ją sobie na specjalnej szklanej maszynce przyrządzał, gdyż nikt mu jej dostatecznie dobrze naparzyć nie umiał.

Narkotyk wschodnich mędrców, uczonych, polityków i artystów w dobie panowania mieszczaństwa po wielkiej Rewolucji Francuskiej spopularyzował się i stracił charakter przywileju wybranych. Początek XIX wieku wprowadził kawę do kawiarń i domów jako nieodzowny napój wszystkich ludzi.

Ale dzieje kawiarni są daleko wcześniejsze. Pierwszą pono kawiarnię w Europie założył w Wiedniu



Wolter.

Polak, Kulczycki, z hufców Sobieskiego. W zamian za zasługi przy odpieraniu oblegających miasto Turków, dostał cały zapas kawy, zdobytej w namiotach Kara Mustafy. W Polsce pierwsza kawiarnia pojawia się w Warszawie w 1724 roku. Założył ją Francuz Duval na rogu Krzywego Koła i ulicy Gołębiej. Na tym nie koniec. Bo kawiarnie wyrastają i w latach późniejszych, jak grzyby po deszczu. Ale rozkwit życia kawiarnianego przypada na czasy Królestwa Kongresowego, kiedy w kawiarniach zbierają się artyści i konspiratorzy polityczni. Słynna staje



Talleyrand.

się „Honoratka", w której wykuwa się powstanie listopadowe.

Nazwana tak od imienia jej właścicielki, p. Cymerylowej, „Honoratka", mieściła się w oficynie starego pałacu Zadzikowskiego przy rogu ulic Miodowej i Kapitulnej.

(Dokończenie na str. 12)

Louis Aragon

SPOTKANIE W VALENCE

(Ciąg dalszy ze strony 9).

— Widzi pan... Nie powinienem tego robić. Nie mam prawa, bezwzględnie nie mam prawa... Ale zależy mi na tym, żeby pan miał do mnie zaufanie. Musi pan uwierzyć, że praca, którą panu powierzam, jest potrzebna, jest ważna... Nie ma innego sposobu. Powiem panu kim jestem... moje nazwisko...

— Pan nazywa się Gérard — przerwał mi.

— Nie. Moje nazwisko jest inne. Nie wiem, czy powie panu cokolwiek, ale może uda się panu umiejscowić mnie w czasie i w przestrzeni, może łatwiej będzie panu uwierzyć mi...

— Ale ja i tak panu wierzę. Mam zaufanie do pana. Przysłano mnie przecież do pana...

— Nie, to nie wystarcza. Nie tego mi trzeba. Chciałbym, żeby pan miał zaufanie do mnie, nie do tych, którzy pana tu przysłali, tylko właśnie do mnie. Bo przecież mamy pracować razem. Powiem panu... Nazywam się Aragon. Louis Aragon. Jestem pisarzem. Przed wojną redagowałem dziennik „Çe Soir", w Paryżu, razem z moim przyjacielem Jean Richardem Blochem. Może moje nazwisko nic panu nie powie„ Ale kiedyś byłem surrealistą... a później zostałem...

Mówiłem bardzo wolno. Doktór milczał. Milczał długo. Widocznie nie ma pojęcia, kim jestem. Milczał. Nigdy niczyje milczenie nie ważyło tak na moim życiu jak w tej chwili. Zrobiło mi się wstyd. Przełamałem zasady konspiracji — niepotrzebnie. Człowiek wmawia sobie, że wszyscy go znają. Cóż za błazen ze mnie!

Nagle — ożywił się. Oczy blado-niebieskie, gazeta w kieszeni... Zaczął mówić. Zaczął mówić wiersze. Wiersze o miłości. Umiał na pamięć wiersze o miłości. Znałem te wiersze. Czyżbym się mylił?... Mówił wiersze m o j e, znał je na pamięć. No, właśnie. Nie pomyliłem się. Partia została wygrana. Zrobi to, czego od niego zażądam. (Później, w Mauthausen pewnego dnia także będzie mówił wiersze... Nie moje... Wiersze Racina... Na rozkaz pułkownika, który prawdopodobnie zapragnął ujrzeć na dnie otchłani ułamek straconej Francji... „Widziałaś wspaniałość tej nocy, Phenice?" Noce w Mauthausen nie miały splendoru nocy rasynowskich — i jakie oblicze mogła mieć w Mauthausen Phenice?)

Ten człowiek zmienił się w ciągu jednej chwili. Zaniechał rezerwy, pozbył się uprzedniego zalęknienia. Zaczął mówić o sobie. O ludziach, których znał i których ja znałem. O Paryżu. O tysiącu rzeczy błahych i zasadniczych. Mówił. Mówiły jego jasne oczy. Wiedziałem, że zrobi wszystko, co mu powiem. Mogę mieć zaufanie do niego. Chciał, żebym wiedział, że mogę mieć do niego zaufanie. Dobrze, będzie prowadził robotę wśród lekarzy. Bo trzeba lekarzy zorganizować. Mamy lekarzy, nawet sporo. Ale oni nie są naprawdę zorganizowani. Wieczne tarapaty z partyzantami. Tylu rannych w dużych miastach. Nie tylko w dużych miastach, i w małych także.

A poza tym — chodzi o przyszłość, o perspektywy. Trzeba, ażeby z naszej katastrofy wyłoniła się jakaś moc na, trwała organizacja, z widokami na przyszłość. Zapłaciliśmy za to drogo. Związek lekarzy. Tak samo, jak związki pisarzy, inżynierów, urzędników.

— No, a teraz niech pan mi powie: gdzie ja będę nocował?

Walizkę zostawił na dworcu. Przypuszczał, że... Jakże był daleki od myśli, że...

Trzeba mu było wyjaśnić. Tu, w parku Valance, mieliśmy się tylko spotkać. Niech wybierze miasto, jakie zechce, stworzy sobie dom. Jako Gilbert Debrise, literat. Sam, bez niczyjej pomocy. Nie informując o tym organizacji. Potem musi pojechać do Lyonu. Tam skontaktuje się z pewnym lekarzem... Pójdzie do niego w godzinach przyjęć. Postara się, żeby był przyjęty ostatni. Powie mu: „Mój ulubiony kwiat, to fiołek".

— Nie — zaprotestował — nie bardzo lubię fiołki.

— Wszystko jedno, wybierze pan inny kwiat...

Roześmiał się. Armeńczyk znikł z pola widzenia. Dzieci bawiły się głośno. Jakiś duży ptak podskakiwał na trawniku. Spojrzałem na niebo, z pewnym niepokojem. Jeżeli zacznie padać deszcz, gdzie się ukryjemy?...

— Wie pan... — zaczął.

— Co?

— Wie pan, to nie prawda, że Izera jest po tej stronie„ Nigdy w życiu!

Trzeba się było pożegnać.

— Gdzie ja pana znajdę? — spytał.

— Proszę mnie nie szukać. Za pośrednictwem lekarza z Lyonu dam panu znać, kiedy mamy się zobaczyć... jak robota już ruszy z miejsca. Później skontaktujemy pana z moim technikiem, Gaillardem. Pan da mi znać przez Gaillarda... ale to dopiero później...

Na pożegnanie powiedziałem mu:

— Niech pan uważa, żeby nie wpaść.

(Wpadł. Nie przy robocie. Nie przy naszej robocie. Przypadkiem, w czyimś mieszkaniu. W tych przeklętych czasach nie należało nikogo odwiedzać. Każdy mógł być w mniejszym lub większym stopniu narażony. Przyszło się z wizytą — i jakże łatwo było wpaść na złą chwilę — to znaczy na moment, kiedy Gestapo lub milicja wsuwały nos w cudze sprawy.)

— Popełniłeś błąd — powiedział mi mój technik Gaillard. — Nie wolno ci było powiedzieć, kim jesteś na prawdę. Regulamin, to regulamin. Co teraz będzie, jak on zacznie opowiadać, że pracuje właśnie z tobą?

— On nikomu nie powie, że pracuje ze mną. Da się posiekać raczej na drobne kawałki, niż piśnie słówko. Nikt go nie będzie pytał, czy pracuje ze mną, czy nie pracuje ze nimą. Nie będzie miał sposobności do powiedzenia. A zresztą, gdyby nawet powiedział... Dokąd ich to zaprowadzi? Gerardów jest tyle, co psów. Tak, czy owak, szukaliby Aragona. Ale przecież ja, pan w szarym kapeluszu, który mieszka w małym miasteczku razem z żoną... i którego biorą za policjanta, gdyż zbyt wiele podróżuje...,

— Możesz gadać co chcesz — przerwał mi Gaillard — ale konspiracja, to konspiracja — i basta.

Miał rację. Konspiracja — to konspiracja.

(Nigdy jednak, ani w Marsylii, ani w Paryżu, ani w Mauthausen, ani w Ebensee, wyżej wymieniony Debrise, imieniem Gilbert, literat, ani słówkiem nie wspomniał o Gerardzie, ani też o nikim innym. Nie powiedział ani słowa nawet mojemu przyjacielowi, z którym spotkał się w obozie w Compiègne i z którym razem — pewnego wieczoru dyszącego wyjątkową słodyczą letnią — wyładował w pobliżu Mauthausen, na stromych stokach Dunaju...)

Spotkałem go wiosną roku 1945-go. Tego samego człowieka, którego widziałem po raz pierwszy wahającego się w wyborze schodów, pod pomnikiem Championneta, w Valence. Teraz miał w oczach — zachował przez pewien czas w tych oczach bardzo jasnych i bardzo niebieskich — spojrzenie obozowe, nieopisanie tragiczny wzrok, jaki mają wszyscy deportowani po powrocie s t a m t ą d.

Miał jeszcze coś do powiedzenia — zanim wcielił się z powrotem w doktora Gilberta Dreyfusa, lekarza kliniki uniwersyteckiej w Paryżu. Gilbert Debrise powiedział w swej książce „Cmentarze bez grobów" zdanie, które przekracza granice rozumienia:

„Duch nie skapitulował przed siłą... Tam w obozie, zrozumieliśmy, że człowieka można wiele nauczyć, i że nauczyć go trzeba. Jeżeli są dziś jeszcze na świecie istoty, które opierają się przeciwko temu, żeby stać się ludźmi wolnymi, my ich uwolnimy, choćby wbrew ich woli."

Z piekła grozy, dla którego brak nazwy, powstali ludzie o dobroci — nieubłaganej. Powrócili ci, którzy zrozumieli, jakim człowiek m o ż e być i jakim p o w i n i e n być. Powrócili, gotowi podjąć długą, nieskończenie długą i zaciekłą pracę, częstokroć inną, niż sobie umyślili, wyobrazili, wymarzyli. Dla pracy, którą trzeba podjąć, potrzebni są tacy, jak Gilbert Debrise. Chociaż to nie jest ta sama robota, przy jakiej upieraliśmy się za panowania Hitlera, wówczas, gdy w parku miejskim w Valance dzieciaki bawiły się koło klombów, jak gdyby nigdy nic... Ta praca jest kontynuacją roboty trudnej, niebezpiecznej, odstręczającej.

Będzie jeszcze wielu Gilbertów Debrise. O trzeba mieć do nich zaufanie.

Bez względu na to, czy ich spotkamy w Valence, czy gdziekolwiek indziej.

Z WYSTAWY ARTYSTÓW-PLASTYKÓW „WARSZAWA".



MARIA HISZPAŃSKA — KOBIETY W RAVENSBRÜCK.

KANNITVERSTAN

I znowu paru znajomych moich utyskiwało przede mną na warunki mieszkaniowe. Myślałem, że te „bolączki" należą już do przeszłości — to znaczy w miastach niezniszczonych, jak Łódź powiedzmy, bo nie mówię, oczywista, o Warszawie czy Gdańsku. Myślałem, że o tych bolączkach da się powiedzieć to, co w III części „Dziadów" mówi Frejend o odsiadywaniu kozy: „Kto był w kozie, ten sekret mieszkania przeniknął. Mieszkać źle czy też dobrze — skutek przywyknienia. Pytał raz Litwin — nie wiem: diabła czy Pińczuka: dlaczego siedzisz w błocie? — Siedzę, bom przywyknął. Tylko przywyknąć, bracie, na tem cała sztuka".

Myślałem więc, żeśmy już wszyscy (t.j. ci, co źle mieszkamy) nabrali tej sztuki, którą nazwałbym naukowo-socjologicznie „akomodacją mieszkaniową". Tymczasem tak nie jest. Opowiada mi znajoma śpiewaczka w Łodzi, że musi dzielić mieszkanie z pewną rodziną, której światopogląd i stosunek do rzeczywistości należałoby określić słowem, jakiego kiedyś ludzkość będzie się wstydzić — mianowicie, jako „szabrowniczy". W domu piekło. Artystka i płazy ludzkie. Ariel śród Kalibanów. Gdy ona śpiewa, tamci walą butami w drzwi jej pokoju. Ale gdy tam odchodzi bimber i gwałt interesów, musi milczeć, bo by ją zadziobali. Nie ma bynajmniej żalu do świata, że musi z małą córeczką mieszkać w jednym pokoju i nie może — jako artystka — otrzymać z Urzędu Likwidacyjnego pianina, wówczas gdy inni, którzy w pianinie widzą lokatę kapitału, miewają ich po dwa i trzy. Ale dlaczego Urząd Mieszkaniowy w tak dziwny sposób łączy pod jednym dachem przeciwieństwa ludzkie i bierze częściej stronę Kalibanów niż Ariełów?

Inny znajomy opowiada mi, że on i jego kolega biurowy są urzędnikami jednego resortu i w tym samym stopniu służbowym. A jednak on ma mieszkanie trzypokojowe i rodzinę z siedmiu osób; tamten zaś akurat na odwrót: dostał siedmiopokojowe mieszkanie na trzy osoby. Sprawiedliwość wymaga — powiada — żeby między nimi nastąpiła wymiana mieszkań albo wymiana rodzin. Istotnie. Równe stanowiska, równe pobory, równe obowiązki, a więc i równe prawa, bez przywilejów jednostkowych. Gdyby tego rodzaju nierówność mieszkaniowa między dwoma obywatelami na jednakich posadach zachodziła przed wojną, powiedziałbym: jeden z nich jest oszczędny i zapobiegliwy, i dzięki tym zaletom doszedł do wspaniałych apartamentów (mówię, rzecz jasna, teoretycznie); drugi, mający to samo co tamten uposażenie, ale rozrzutnik, karciarz i pijanica — niech się gnieździ choćby na poddaszu. Dziś większość naszych mieszkań, to właściwie zdobycz wojenna czyli mienie publiczne, społeczne, narodowe. I społeczeństwo powinno rozdzielać je tak sprawiedliwie, jak matka dzieli cukierki między dzieci, żeby żadnego nie skrzywdzić; jak PUR na punktach etapowych wydziela zupę repatriantom; jak rozdawane były paczki unrrowskie...

Oto jeszcze przykład: w pewnym domu społecznym w Łodzi, w robotniczej, proletariackiej, stukominowej Łodzi, dozorca tego domu, mający rodzinę z sześciu osób, męczy się z nią częściowo w t.zw. portierni, częściowo w piwnicy. A mieszkania w tym domu przechodzą ciągle z rąk do rąk, bo to ktoś wyjeżdża, ktoś się przenosi. I dozorca nie może się doprosić dwóch pokoików, choć jest demokratą-proletariuszem, choć przed dwoma laty, w okresie wyzwalania, ocalił ten poniemiecki dom przed rabunkiem, gdy mógł się był sam, gdyby chciał, solidnie wówczas naszabrować.

Jaką pociechę można dać takim niezadowoleńcom, pokrzywdzeńcom i biadaczom. Opowiem im chyba starą bajeczkę. Ubogi cudzoziemski czeladnik, szukając pracy, zawędrował niegdyś do Amsterdamu, miasta bardzo bogatego, bo wiodącego handel zamorski z całym światem. Biedak dziwił się cudom, których w życiu nie widział. Ujrzał przepiękny pałac. — Proszę łaski jegomościa — zagadnął przechodnia — a można to wiedzieć, jak zwa tego dostojnego pana, do którego ten przecudny dom należy? — Kannitverstan — brzmiała krótka odpowiedź. bo przechodzień nie rozumiał obcej mowy, a „kannitverstan„ znaczy po holendersku: nie rozumiem. — Ależ to bogacz, ten pan Kannitverstan — pomyślał zazdrośnie czeladnik: — żebym to ja był taki. — I zobaczył w porcie olbrzymi okręt, z którego wyładowywano bezcenne towary. — Czyj to może być okręt? — zapytał — i te niezmierzone w nim bogactwa? — Kannitverstan — usłyszał w odpowiedzi. — Ho, ho — pomyślał biedaczyna: — ano, nie dziwota: łatwo budować pałace temu, komu morze takie dostatki na ląd wyrzuca. — I właśnie przeciął mu drogę pogrzeb tak okazały i magnacki, z tak licznym orszakiem i z taką paradą postępujący, że czeladnik nie mógł się powstrzymać, by nie pociągnąć za rękaw przechodnia: — A kogo to, panie, grzebią z takim przepychem? — Kannitverstan — zbył go przechodzień znajomym słowem. Czeladnik usta otworzył. Że zaś poczciwy był, łzy mu z oczu trysnęły. — Biednyż ty, biedny, Kannitverstanie! — zawołał: — I na cóż ci przyszło? Na cóż ci się zdało całe twoje bogactwo? To samo z niego masz, co i ja kiedyś dostanę: koszulę śmiertelną, te cztery deski i tę ciemną mogiłę. — I kiedy mu później w życiu ciężko chwilami bywało, stawał mu w oczach pan Kannitverstan z Amsterdamu.

Bajeczka bajeczką. Życie żąda czego innego. Nie metafizycznych pocieszeń i ucieczek „w dziedzinę rajskiej ułudy", lecz praktycznych rozwiązań. Nie samym duchem człowiek żyje, ale i chlebem bożym. Jeżeli w mickiewiczowskiej Odzie ma wyjść „z zamętu świat ducha", to tylko dlatego, że już stoi mocno na zrębie „świat rzeczy", i na ten świat rzeczy musi miłość zionąć ogniem. W jakich to krótkich słowach Bertrand Russel zamknął wieczystą prawdę? „Ludzie muszą znaleźć szczęście bez krzywdzenia się nawzajem, i dlatego od dziecka należy ich uczyć zasady: żyj i daj żyć innym". Nie jest to łatwe, ale możliwe i wykonalne. Koniecznym warunkiem szczęśliwości ludzi — dodaje Russel — jest walka z „kapitalizmem". Wszelako — maleńka uwaga. I Russel przytacza niezmiernie mądrą — życiową, psychologicznie i praktycznie wypowiedź jakiegoś robotnika: „O wiele łatwiej jest mówić socjalistycznie, niż socjalistycznie pracować; o wiele wygodniej druzgotać kapitalizm na wiecu, niż go z własnej piersi wyplenić, gdzie korzeń jego tkwi głęboko."

JERZY WYSZOMIRSKI

Pieśniarz Warszawy

Jubileusz Witolda Elektorowicza

Przed trzydziestu laty zabrzmiała po raz pierwszy w Warszawie jego piosenka. Były to czasy pierwszej wojny światowej, czasy Rady Regencyjnej i gen. Besselera. Warszawa z pogardą patrzyła w oczy niemieckim „opiekunom" i tęskniła do wolności. Na swój warszawski sposób... z piosenką na ustach.

I wtedy właśnie zaczął śpiewać Elektorowicz, który od razu zwrócił na siebie uwagę swoistą interpretacją, bo był pierwszym śpiewakiem akompaniującym sam sobie.

Wkrótce też okazało się, że jest również uzdolnionym kompozytorem. Do tekstów pisał czarującą lekką miłą dla ucha Warszawianek i Warszawiaków muzyczkę — melodie pełne uroku. Toteż szybko staje się rzeczywistym ulubieńcem Warszawy. Lata międzywojenne są okresem jego nieprzemijającego powodzenia. Elektorowicz uwodzi kawiarnianą publiczność Warszawy, ale uwodzi w sposób czarujący i szlachetny.

Elektorowicz jest poetą estrady, sceny, kabaretu literackiego. Jest wybredny w doborze tekstów. Ale za to dobry literacko tekst uskrzydla uroczymi melodiami. Niemało też przyczynił się do podtrzymania najlepszych tradycji piosenki warszawskiej. Był jej wytrwałym, bezkompromisowym rycerzem. Elektorowicz to zabłąkany w nasze czasy trubadur, dla którego pieśń stanowi treść i sens życia. Warszawa zawsze kochała poetów i trubadurów i dlatego kochała i nadal kocha... Witolda Elektorowicza, który w noc okupacji, na konspiracyjnych koncertach krzepił ją swoją piosenką. I który nadal śpiewa, nadal dobierając najlepsze teksty, by dawać im oprawę z ujmujących melodii.

Toteż jubileusz W. Elektorowicza jest dla Warszawy nie tylko wydarzeniem artystycznym. Jest również okazją do udowodnienia panu Witoldowi, że powojenna Warszawa tak samo ceni Go i kocha jak i Warszawa minionych dni.

(I. r.).



List otwarty do Miry Zimińskiej



Pani Miro!

Oglądałam panią wczoraj — mniejsza o to, kiedy było to „wczoraj", list przecież się drukuje w tygodniku — w „Żołnierzu królowej Madagaskaru" i świetnie się bawiłam. Doskonały to był pomysł, że powierzono Tuwimowi dyrekcję nowego teatru. Julian Tuwim, to nie tylko poeta, to zbieracz, szperacz, to człowiek z wielkim doświadczeniem teatralnym i taktem artystycznym — a jakkolwiek by się pogardzało taką skromną zaletą, nigdy jej zawiele — i odrazu można było przypuścić, że teatr, przez niego prowadzony, stanie doskonale.

Salę odnowiono bardzo efektownie i pomysłowo — nie mogłam się wprawdzie dowiedzieć od Rafałowszczaka, którego spotkałam na przedstawieniu, kto tak zmyślnie popisał te cynamonowe fale na suficie, ale bardzo mi się to podobało. Dekoracje Butryma pierwszorzędne, doskonała, prawdziwie twórcza reżyseria Warneckiego, świetna charakteryzacja nie wiem co prawda, czyjego pędzla czy palca, no i wy, artyści.

Myślę, że i Pani dobrze się czuła wśród kolegów, którzy tyle potrafili i chcieli z siebie dać, którzy zdobyli się na taki wysiłek artystyczny, dali tyle groteskowego gestu, humoru i pomysłowości w opracowaniu roli. Nieodparcie ponury i śmieszny Zempoliński jako nieśmiertelny Mazurkiewicz przypominał nam — bo i pani na pewno — tylu znajomych, tylu odpalonych a natrętnych wielbicieli, że ogromny wkład naszej podświadomości w jego rolę przydawał mu wdzięku. Świetnie się ruszał i pięknie śpiewał w wielu rolach Olsza, w wielu rolach doskonale grał i wyglądał Mrozieński, panna Sabina Runowiecka była śliczna, a Kazio bardzo pomysłowo „męszyl" (sic) wyposażony w tym celu rozlicznymi zaletami przez panią Grabińską. Mama, ciocia, stryjcio, siostrzeniec, jednym słowem cały komediowy „tiers état" nie dorównywał oczywiście temu, co w tym wypadku zdziałałaby rodzina hrabiów Rozdziwiłłów, ale był nieslychanie zabawny, stylowy i doskonale ubrany.

Więc, pani Miro, bawiłam się doskonale tym, co zrobił Teatr Domu Żołnierza, Tuwim i państwo wszyscy. Ale to, że zobaczyłam znów na scenie panią, to była zupełnie inna historia. Przypominałam sobie, jak pani grała tę samą Kamillę przed wojną, pamiętałam nawet pani niebieską suknię i niebieskie pończochy. Teraz suknia była żółta, wesel. sza, a pani śmiała się i była zupełnie tak samo wesoła, jak wtedy. Ale ja przypomniałam sobie wieczór, kiedyśmy się poznały — pamięta pani? Owo drugie piętro nad łaźnią na Krakowskim Przedmieściu, portret pani domu, robiony przez Wyspiańskiego, pokój z ciemnym obiciem, drugi pokój z lampą na fortepianie, niezliczona ilość ciasteczek własnego pieczenia. No i my wszyscy, pani, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Wanda Telakowska, Irena Krzywicka, okazyjnie jakiś gość z Francji czy innej zagranicy. Wtorki, czwartki? Nie, tego już nie pamiętam.

Tak, to było u Boy'ów. Boy mówił zawsze niewiele, jeszcze teraz przypominam sobie intonację jego głosu w tym zwięzłym „ejże?", którym odpowiadał na zawiłe często i długie przemówienia gości, pani Zosia Żeleńska uśmiechała się, mówiła niewiele i cicho, ale tych dwoje cichych, małomównych ludzi umiało wszystkich skupić, wszystkich poruszyć, wszystkich skłonić do mówienia, rozgrzać, ożywić, dać im błyszczeć. I tam właśnie mówiło się o pani: ta Mira, utalentowana, inteligentna, dowcipna — jednym słowem same superlatywy.

Śpiewała pani w teatrze warszawskiego krakowiaczka Bartelsa. „Mówią, że na lewym brzegu nie ma już Warszawy..." Istotnie, nie ma. Tylu rzeczy, tylu ludzi nie ma i zapomnieć ich, i odżałować ich niepodobna. I dlatego to piękne, wesołe przedstawienie „Żołnierza królowej Madagaskaru" było też dla nas, którzy pamiętaliśmy tamto — zaprawione melancholią.

Tym serdeczniej, droga pani Miro witamy dziś panią na scenie.

WANDA MELCER

Czarna jak diabeł...

(ciąg dalszy ze strony 10)

dził tu Mochnacki na czele burzliwych patriotów. Opis „Honoratki" odnajdujemy w starych księgach. „W początkach — pisze naoczny świadek — była to tylko kawy filiżanka, ponczyku szklanka i cicha gawędka w ukryciu, lecz później na zebraniach tych zaczęto czytać i deklamować wierszyki patriotyczne, śpiewać piosenki narodowe i przy tej sposobności wszczynano głośne rozmowy polityczne i różne wieści w obieg puszczano... Stół na środek wysunięty stawał się mównicą. Pchali się do niego i darli wśród sciągań, spychań i kułaków liczni ochotnicy. Z początku były mowy skromne i niewinne... Następnie zaczęto krytykować Rząd i Dyktatora. Ostre nagany leciały z trybuny stołowej, a choć wszystko miało cechę szynkownianą i wiecha była najwla-ściwszym tych zebrań godłem, jednakże usiłowania bez skutku nie pozostały". W „Honoratce" wykluwał się spisek listopadowy, stąd też wyszła rebelia pod hasłem „Precz z Chłopickim, niech żyje dyktator Lelewel. W „Honoratce" 15-go sierpnia 1831 roku rozległo się hasło: „Do zamku, do zamku, szubienica dla zdrajców"! Za sprawą wielu spiskowych zaczęły się w Warszawie rozruchy. Powieszono szpiegów ludu obwinionych o zdradę.

Po zamknięciu „Honoratki" tradycje rewolucyjne przejmuje kawiarnia „Ciotki" na Podwalu w okresie przedstyczniowym. I ona ulega represjom, jak wszystkie miejsca schadzek po 63 roku.

Dopiero schyłek XIX wieku przynosi ponowny rozkwit kawiarń warszawskich, ale już stojących pod znakiem sporów estetycznych i lekkiej piosenki.

Grzegorz Timofiejew

KRONIKA KULTURALNA

DŁUGOTRWAŁE mrozy i śnieżyce dały się nam we znaki. Zmieszały porządek normalnego życia gospodarczego kraju, rozstroiły komunikację. Odbiły się również na toku pracy w szkołach, przede wszystkim powszechnych i głównie po wsiach, gdzie trudno było dzieciom w siarczysty mróz, poprzez zaspy brnąć do szkół, nieraz odległych. Ale dlaczego w Opolu, na Śląsku, szkoły są nieczynne od początku ferii Bożego Narodzenia, czyli przeszło dwa miesiące? Oto z powodu braku węgla. Nie ma czym szkół opalać. W Opolu nie ma dla szkół węgla, z którego do najbliższej kopalni ręką podać. Dwa miesiące przerwy w nauce szkół polskich na Śląsku, to grzech nie do darowania wobec kultury polskiej na tamtych ziemiach.

•

JERZY SZANIAWSKI został w roku bieżącym laureatem nagrody literackiej m. Krakowa. O jury krakowskim, i w ogóle o naszych powojennych jury artystycznych, możnaby powiedzieć to, co powiedział Fryderyk II o rozgardiaszu umysłowym i braku taktu Józefa II: robi on zawsze naprzód drugi krok, a potem dopiero pierwszy. Tak i Kraków: naprzód nagradza Otwinowskiego i Andrzejewskiego, potem przypomina sobie, że żyje w Krakowie Staff czy Szaniawski. Powinno być naodwrót: Staff, Szaniawski, Morstin... dopiero potem Andrzejewski czy Otwinowski, którym się wprawdzie wyróżnienie należy, musi być jednak zachowana jakaś kulturalna i moralna hierarchia wielkości, zasług, pracy, znaczenia i wpływu, jaki dany pisarz wywarł i na społeczeństwo w ciągu długich lat swej działalności, i na tych młodszych literatów, którzy przed nim właśnie otrzymują nagrody. Ale, jak mówi przysłowie: lepiej późno niż nigdy. Dobrze więc, że Szaniawski został odznaczony i to w momencie, gdy jego nowa sztuka — „Dwa teatry", wystawiana jednocześnie w kilku miastach polskich, świadczy o niesłabnącym tętnie jego wielkiego talentu dramaturga, jednego z największych, jakie literatura polska wydała w ostatnim ćwierćwieczu.

•

DOŚĆ ORYGINALNA dyskusja toczy się w „Kuźnicy" dokoła Ministerstwa Kultury i Sztuki. Oryginalna — dlatego, że — jakby się wydawało — dotychczas panowała doskonała harmonia w poglądach na zagadnienia „kulturowe" pomiędzy redaktorem „Kuźnicy" p. Stefanem Żółkiewskim a wiceministrem Kultury Leonem Kruczkowskim, który w obronie swego Ministerstwa zabiera głos na łamach „Kuźnicy". Wzmiankowana harmonia wystąpiła nie tak dawno, bo z końcem roku ubiegłego, na Zjeździe Literatów w Łodzi, kiedy to ideowe i programowe przemówienia obydwu dzisiejszych przeciwników „pokrywały się" całkowicie. Dziś redaktor Żółkiewski (quantum mutatus ab illo!) zarzuca Ministerstwu absenteizm kulturalny a Kruczkowski z przykrością stwierdza, że uczestnicy dyskusji w „Kuźnicy" posuwają się do „demagogii". Jaki będzie dalszy przebieg rozpraw, zobaczymy. A może, jak powiada Kryłow: „larczik prosto otkrywajetsja"? „Kuźnica" dowodzi, że Ministerstwo należy „usprawnić" „zmienić jego strukturę organizacyjną" odświeżyć.

•

SPÓŁDZIELNIA Wydawnicza „Wiedza" zapowiada w roku bieżącym dużo wznowień z literatur europejskich: Balzaca, Boccaccia, Cervantesa, Dickensa, Dostojewskiego, Flauberta, Kiplinga, Rollanda, Lwa Tolstoja, Zolę i wielu innych. Z jednej strony jest to zapowiedź bardzo przyjemna i pocieszająca; ale z drugiej — czy nie miało racji „Odrodzenie", dowodząc, że powojenni pisarze nasi wyczerpali się już w ciągu pierwszych dwóch lat odzyskanej niepodległości i trzeba będzie przystąpić do przedruków i tłumaczeń?

ST. ŁATKA

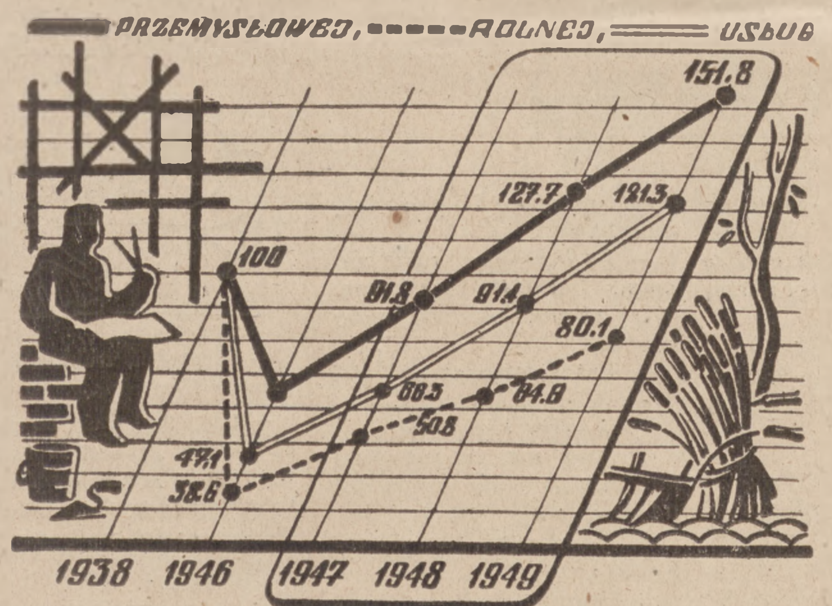
Marian Weralski

PLAN TRZYLETNI

W SEKTORZE SPÓŁDZIELCZYM (II)

Jakimi drogami dąży plan trzyletni do tych wszystkich celów, a w pierwszym rzędzie do zwiększenia dochodu społecznego? Przez stały planowy rozwój produkcji przemysłowej, rolnej i usługowej i to jest sedno planu trzyletniego, do tego planowego rozwoju produkcji dostosowane są rozmiary inwestycji, plan importu i eksportu, plan finansowy itd.

KRZYWE WZROSTU PRODUKCJI (Rys. 4)



Jak wiadomo, jednak obecny model gospodarczy Polski składa się z trzech sektorów: państwowego, spółdzielczego i prywatnego. W każdym z tych trzech sektorów dokonywane są inwestycje, następują zmiany w zatrudnieniu itd. Wskutek tego trzyletni plan gospodarczy musi obejmować wszystkie trzy sektory naszego życia i musi być uzupełniony planami szczegółowymi dla każdego sektora. Siłą rzeczy najbardziej szczegółowym musi być plan sektora państwowego, najmniej szczegółowy plan sektora prywatnego jako najbardziej uchwytnego. Plan sektora spółdzielczego opierać się musi na ogólnych wytycznych Narodowego Planu Gospodarczego, jednak w ramach autonomii posiadanej przez ruch spółdzielczy może on posiadać duży stosunkowo stopień swobody.

Planowanie na odcinku spółdzielczym nie jest rzeczą nową. Spółdzielczość, z zasady swej pracując na zorganizowanym rynku potrzeb, pracować musiała w oparciu o plany. Plany te jednak nigdy nie były z konieczności szczegółowe, gdyż działalność planowa odcinka spółdzielczego zależała w dużej mierze od całokształtu bezplanowej kapitalistycznej gospodarki, której wahań koniunkturalnych planiści spółdzielczy nie byli w stanie przewidzieć. Z drugiej strony plany te nigdy nie obejmowały w Polsce całego odcinka spółdzielczego wobec przedwojennego rozbicia ruchu spółdzielczego i braku czynnika koordynacyjnego. Nic też dziwnego, że plany te były wykonywane z różnym powodzeniem. Warto jest tu przypomnieć rozwój spółdzielczości spożywców, który miał charakter raczej organizacyjno - strukturalny, a w mniejszej mierze charakter gospodarczy, którego wykonanie przerwane przez wojnę zarysowywało się pomyślnie .Warto również wspomnieć próby przedwojenne „Społem" dostosowania swych umów krajowych i zagranicznych, oraz swej produkcji do potrzeb zorganizowanego spółdzielczego rynku.

Obecny plan spółdzielczy tym się musi różnić od dawnych, że musi być powiązany z ogólnym Narodowym Planem Gospodarczym i musi obejmować cały ruch spółdzielczy.

Plan spółdzielczy musi być powiązany z Planem Narodowym. Narodowy plan gospodarczy w tezie XXI tak precyzuje rolę sektora spółdzielczego w całokształcie gospodarki narodowej:

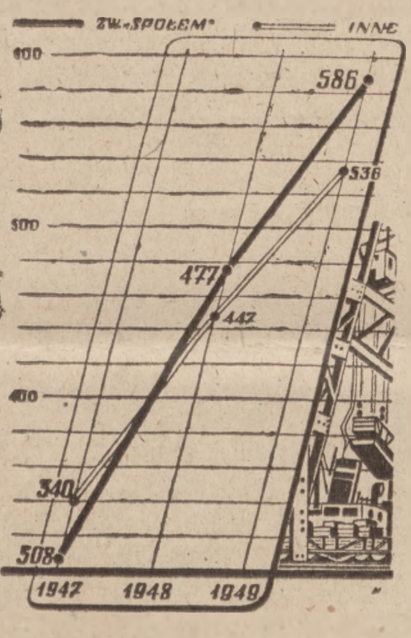
a) Spółdzielczość odgrywa decydującą rolę w gałęziach przemysłu przekazanych jej ustawą z dnia 3.I. 1946 r. o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej.

b) Na wsi spółdzielczość spełni zadanie przypadające jej w zakresie produkcji i przetwórstwa w związku z wykonaniem reformy rolnej oraz stanie się dominującym aparatem wymiany między wsią a miastem w poszczególnych działach zbytu i zaopatrzenia gospodarstw rolnych. Dysponować ona będzie na koniec 1949 r. zwiększoną siecią punktów handlowych na wsi w granicach około 13.000.

c) Spółdzielczość odegra skutecznie rolę interwencyjną w zaopatrzeniu ludności miejskiej w artykuły pierwszej potrzeby, oraz w zaopatrzeniu i zbycie warsztatów rzemieślniczych, chałupniczych i w organizacji pracy najemnej (spółdzielnie pracy) oraz w budownictwie.

W okresie realizacji Planu spółdzielczość w mieście podwoi ilość detalicznych punktów sprzedaży oraz zwiększy na jednostkę sieć.

KRZYWE WZROSTU PRODUKCJI SPÓŁDZIELCZEJ (Rys. 5)



d) Udział spółdzielczości w obrocie zagranicznym odpowiadać będzie jej znaczeniu i zakresowi działania w wewnętrznej gospodarce kraju.

To są wytyczne dla opracowania spółdzielczego planu trzyletniego.

Plan spółdzielczy, jak wspomniano, musi obejmować cały sektor spółdzielczy. To znaczy, że plan powinien obejmować zarówno działalność central spółdzielczych, jak i spółdzielni. W jaki sposób może być taki plan zestawiony: Plan musi się opierać (w ogólnych ramach Planu Narodowego) z jednej strony na potrzebach zorganizowanych spółdzielczo mas ludności, z drugiej strony na możliwościach, jakimi rozporządza sektor spółdzielczy, przy szczególnym uwzględnieniu tendencji rozwojowych ruchu spółdzielczego.

Punktem wyjścia planu gospodarczego sektora spółdzielczego podobnie jak ogólnego Planu Narodowego musi być spółdzielcza produkcja przemysłowa, rolna i usługowa, a w związku z tym musi być dokładnie ustalony plan inwestycji, zatrudnienia, zapotrzebowania materiałowego, plan finansowy itd.

Trzyletni plan produkcji przemysłowej sektora spółdzielczego przewiduje wzrost produkcji spółdzielczej w ramach tych gałęzi przemysłowych, które obecnie w ręku spółdzielczości się znajdują, jak to podaje poniższa tabelka w milionach złotych, według równowartości z 1937 r.

	1947 r.	1948 r.	1949 r.
Produkcja Zw. „Społem"	308	477	586
Produkcja innych central spółdz. i spółdz. terenow.	340	447	536
Razem	648	924	1122

Najlepiej uwidoczni to wykres Nr 5.

(Dokończenie w Nr 10)

„SKOŃCZYŁ SIĘ OKRES CUDÓW NA PUSTYNI"

Odprawa delegatów Zarządu „Społem"

„Skończył się okres cudów na pustyni". Tymi słowy rozpoczął swój referat Kierownik Biura Prezydialnego i Pełnomocnik Związku „Społem" — Adam Rapacki, na odprawie delegatów Zarządu „Społem", którzy zjechali się w dniach 17 i 18 lutego 1947 r. z całej Polski do Warszawy. Co miały oznaczać te słowa i jaki był cel odprawy?

W tak obrazowym porównaniu chciał referent przedstawić różnicę między ubiegłym okresem działalności „Społem", a okresem nadchodzącym. Może w powiedzeniu powyższym było trochę przesady. Okres ubiegły nie był okresem „cudów", lecz okresem wytężonej pracy ruchu spółdzielczego, tym niemniej jednak, jak to prelegent następnie wyjaśnił, okres ubiegły w porównaniu z okresem nadchodzącym określić należy raczej jako okres łatwiejszy. Inwestycje ubiegłego okresu bardzo często przy bardzo niewielkim nakładzie środków dawały nieproporcjonalne ilościowo wyniki.

Bardzo często w fabryce zakupienie jakiegoś pasa lub naprawa jednej maszyny umożliwiała puszczenie w ruch całego zakładu produkcyjnego; drobny remont dachu oddawał do dyspozycji cały magazyn. Okres tych inwestycji raczej się już skończył i dla składowania towarów nowy magazyn musi być budowany od fundamentów. Również okres „łatwości" kredytowej należy uważać za skończony. Stoi przed nami okres, gdy każda złotówka musi być dokładnie przed jej wydaniem obejrzana i obliczona. Nadszedł czas, w którym należy dokładnie zanalizować sytuację oraz wyniki dotychczasowej pracy. Nadszedł czas zastanowienia się nad racjonalizacją pracy.

Najważniejsze różnice między okresem ubiegłym a przyszłym wynikają z konieczności przestawienia się „Społem" i ruchu spółdzielczego z gospodarki reglamentowanej na gospodarkę wolnorynkową, opartą jednak o zorganizowany rynek spółdzielczy, w ramach 3-letniego planu. W związku z tym i odprawa delegatów wojewódzkich „Społem", na której wygłoszony był tak wnikliwy referat A. Rapackiego miała jako temat obrad zagadnienia oszczędności w gospodarce, rewizji marż, rozbudowy sieci spółdzielczej wobec konieczności zorganizowania planowego rynku zbytu i i wszelkich innych zagadnień, związanych z trudnościami przestawienia pracy gospodarczej. Dobrze się stało, naszym zdaniem, że „Społem" i ruch spółdzielczy myśli już i przepracowuje zagadnienia związane z nadchodzącym okresem i że zdaje sobie sprawę z rzeczywistych trudności, stojących przed ruchem spółdzielczym oraz, że ma wolę i środki dla pokonania tych trudności.

W.

OKRUCHY WSPOMNIEŃ

(Dokończenie ze str. 8)

się, a jak Prystor powiedział, wszystkie wróble o tym na dachu opowiadają, Ziukowie się rozstają, Ziuk porzuca p. Marię dla tow. Oli.

Nasze stosunki z Ziukiem zupełnie się zerwały. Dopiero po wybuchu wojny zameldowałem się u Ziuka. Objął mnie i powiedział: „Teraz wszyscy mi jesteście potrzebni".

Z p. Marią spotkałem się potem tylko raz jeden po paru latach. Byłem wtedy już w polskim wojsku i jako zastępca szefa sanitarnego w Łodzi bawiłem przez parę dni na inspekcji w szpitalu w Ciechocinku. I tameśmy się spotkali, o starych urazach nie pamiętaliśmy, dużo razem spacerowaliśmy. Bardzo serdecznie rozpytywała mnie o moje osobiste sprawy. Dobra to i mądra była kobieta, ale w stosunku do p. Oli nie wystarczyło jej hartu do załatwienia tej sprawy bez zarzutu. Sam na własne oczy nie mogłem nic w tym czasie widzieć, bo przecie stosunki były zerwane, ale z opowiadań Helki Cz. (potem Pr.) wiem, że było tam dużo... powiedzmy, nietaktów, przejmowanie listów itd. Bardzo mi było przykro, gdy mi o tym opowiadano, bo miałem szczery sentyment i dużo szacunku dla biednej p. Marii.

Dr Marcin Woyczyński

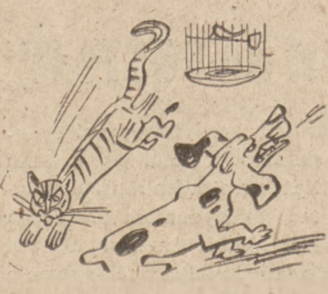
DLA małych dzieci BAJECZKI DLA dużych dzieci

CIOCIA MANIA

(rys. Kazimierz Grus)



To jest moja ciocia Mania,
Kiedy z łóżka wstaje z rana.



Na jej widok kot ucieka,
Drży kanarek, piesek szczeka.



Potem ciocia bierze lustro,
Pacykuje się na bóstwo.



I mniej więcej po godzinie
Piękna jest jak gwiazda w kinie.



Na ulicy zachwyt budzi,
Tylko wujek się nie łudzi.



To nasuwa nam przestrogę:
Gdy urośniesz, dziecię drogie,
Przed wyborem połowicy
Każ jej umyć się w miednicy.

Janusz Odrowąż

CUDOWNY SPECYFIK

Już od dłuższego czasu czułem się kiepsko. Łamanie w kościach, kaszel, ból zębów i bezsenność dokuczały mi naprzemian, lub jednocześnie.

Ale doktorów unikałem. Wiadomo, mało kto jest zakochany w medycynie.

Opieszałość mą przełamał dopiero nieznośny ból żołądka, który wystąpił po zjedzeniu w dzień bezmięsny tzw. pierożków z drobiu.

Powiedzonko, że i między drobiem trafiają się świnie, uważam odtąd za aksjomat. W moich pierożkach musiały być nawet bardzo stare świnie, które niejeden talerz zwiedziły.

Krótko mówiąc, musiałem iść do lekarza.

Byłem zdecydowany skończyć przy okazji z wszystkimi niedomaganiami organizmu, jako to: z kaszlem, grypą i bezsennością.

Lekarz badał długo i jeszcze dłużej wypisywał recepty. Potem objaśniał, co przed jedzeniem, co po jedzeniu, co zamiast.

Zachęcony tą sumiennością, pokazałem mu także swoje zęby.

— Nie jest to moja specjalność — rzekł — ale bez wątpienia dwa trzeba wyrwać. I to jak najprędzej. Bólu naje się pan sporo, bo trzeba będzie rwać na żywca, ale...

— Czemu na żywca? — jęknąłem.

— Znieczulających zastrzyków brak — wyjaśnił uprzejmie.

— Panie doktorze! — prosiłem. — Niech pan mi i te zastrzyki zapisze! Może gdzieś znajdę...

Zapisał.

Z całą furą recept poszedłem do najbliższej apteki. Wygolony magister przejrzał wszystkie uważnie, po czym rzekł krótko:

— Nie ma.

— Którego nie ma? Tu, zdaje się, miało być pięć, czy sześć lekarstw...

Wzruszył ramionami.

— Żadnego nie ma. Z lekarstwami, panie, krucho.

Poszedłem do drugiej apteki — to samo.

Na koniec przypomniałem sobie, że mam znajomego aptekarza. Szkolny kolega, po prostu. Ten mi na pewno sprzeda.

Niestety, kolega też nie miał. Drapał się w głowę, wzdychał, wreszcie spośród recept wyciągnął dwie.

— Zamiast tego lekarstwa na kaszel, mógłbym ci dać paracodinę, ale...

— Daj, przyjacielu, daj!

— Ale — dokończył — ona fałszywa.

— Fałszywa? To po co trzymasz?

— Bo innej na razie nie mam. Zamiast tych proszków od przeziębienia, mam cibasol...

— Też fałszywy?

— Też...

Spojrzałem bezradnie.

— Więc nie ma już ratunku? Ani na moją grypę, ani na bezsenność, ani na kaszel, ani na zęby, ani na żołądek?

— Jest ratunek — rzekł przyjaciel. — Można jeszcze dostać pewien specyfik, który pomaga na te wszystkie choroby.

— Na wszystkie? I na bezsenność?

— I na bezsenność.

— I na grypę?

— I na grypę.

— I na żołądek?

— I na żołądek.

— I zęby znieczula?

— Znieczula. Przynajmniej wiele osób tak twierdzi.

Rzuciłem mu się na szyję.

— Przyjacielu! Sprzedaj!

— Możesz to dostać i gdzie indziej. Ale, ponieważ akurat mam, mogę ci odstąpić.

— Dziękuję! Dziękuję bardzo! Ile płacę?

— 165 złotych. Cena urzędowa.

Zapłaciłem, a on wręczył mi — półlitrową butelkę z niebieską kartką.

Anegdoty historyczne

KRÓL I CHŁOP



Henryk IV (1539 — 1610), będąc pewnego razu na polowaniu, oddalił się znacznie od swojej świty. Wracając, spotk[ał] na drodze chłopa, który siedz[iał] pod drzewem.

— Co tu robisz? — zapytał g[o].

— Król poluje w tych stronach — odpowiedział chłop — i ma tędy przejeżdżać. Chcę go zobaczyć.

— Siadaj ze mną na konia — rzekł król, który jechał konno — a zawiozę cię tam, gdzie będziesz mógł zobaczyć króla.

W drodze chłop zapytał:

— W jaki sposób będę mógł poznać króla.

— Bardzo łatwo. W otoczeniu króla wszyscy zdejmują kapelusze. Zwróć uwagę na tego, kto pozostanie w kapeluszu. To będzie król.

Gdy król nadjechał ze swym towarzyszem, świta odsłoniła głowy

— Cóż? — zapytał Henryk chłopa: — Wiesz już, który jest król?

— To dziwne — odpowiedział chłop: — albo wy albo ja.

S.

Przygody Zagłoby

Próba siły

(rys. Jerzy Zaruba)



— Panie Zet, zrobiem jeszcze jednego litra?

— Daj pokój waść, bo się pod stół zwalę. Przedni to był trunek ale za moich czasów najtęższy opój nie zdzierżyłby wypić tyle, co dziś waćpanowie pijacie.



— Jakieś słabosilne facety w pańskich czasach żyły.

— Kłamstwo! Myśmy podkowy w ręku łamali, czego waść z pewnością nie dokażesz!

— A no, zobaczem. Zaraz poślę chłopaka po dwie podkowy.



— No i co, panie Zet? Ja swoją złamałem, a pańska ani drgnie.

— Jakem Zagłoba, to nie do wiary! W łeb sobie chyba palnę ze wstydu!



— Jasiu, przy.. przyjacielu, nie gniewaj się... Ja z tymi podkowami letki kant uskutecznilem...

— Może to być?

— A tak. Uważasz, moja była kupiona w zwyczajnym sklepie, a twoja w spółdzielni... Lepszy towar dlatego złamać nie mogłeś...

— Niech mnie psi zjedzą, żem się nie domyślił!

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

Post — co by tu zrobić na obiad, żeby wszystkim dogodzić?
Spróbujmy zrobić

BARSZCZ POSTNY

Krajemy w paski buraki, marchew, pietruszkę i seler — dusimy na patelni w oleju. Gdy włoszczyzna trochę zmięknie, wkładamy do rondla, zalewamy wodą i stawiamy na ogniu. Osobno gotujemy parę grzybków, następnie wywar wraz z drobno pokrajanymi grzybami dodajemy do gotującego się barszczu. Godzinę przed podaniem barszczu wkładamy pół kg kapusty słodkiej poszatkowanej, kilka kartofli i solimy. Zaprawiony barszcz pomidorami. Sok pomidorowy z puszek UNRRA doskonale nadaje się do tego celu. Barszcz taki możemy ugotować w większej ilości — smakuje on doskonale odgrzany następnego dnia.

KROKIETY Z RYB

Resztki gotowanej lub smażonej ryby — może być dorsz — oczyszcza się z ości i sieka drobno. Następnie miesza się z gotowanymi, przepuszczonymi przez sito, gorącymi ziemniakami, których musi być tyle, ile masy rybnej. Zasmażamy na maśle cebulkę, dodajemy trochę soli, papryki oraz kilka jaj. O ile masa jest trochę za rzadka, dodajemy łyżkę tartej bułki. Z tej masy robimy małe kulki, posypujemy bułką i smażymy w tłuszczu, tak, by w nim pływały.





Trudno pisać o wiośnie, gdy wciąż jeszcze trzaskający mróz każe nam ubierać się jak najcieplej. PIHM zapowiada jednak wkrótce nadejście fal ciepłych, wobec czego trzeba pomyśleć o wiosennych strojach, które panie nasze zaprezentują — być może w niedługim już czasie! Moda tegoroczna wymaga skromnych strojów, w których pokażemy się na ulicy. Spódniczka pozostaje wąska, często z rozcięciem na boku, żakiet wcięty, przeważnie o angielskim kroju.

Rysunek 1 przedstawia wiosenny kostium z jasnej wełny w kolorze beige. Futrzany kołnierz przedłuża się w duże kieszenie. W chłodniejszy wiosenny dzień będzie w tym kostiumie naszej czytelniczce bardzo do twarzy.

Rysunek 2. Palto w kratę jest trzyćwierciowe, wcięte w pasie i ozdobione guzikami. Wąska spódnica z wełny w kolorze harmonijnie dobranym do płaszcza, tworzy ładny komplet.

Uporządkowanie rynku cukrowego

Skuteczna akcja interwencyjna »Społem«

Okres ostatnich trzech miesięcy był przykładem ciekawego zjawiska na rynku cukrowym. Przy niezmienionej cenie detalicznej po zakończeniu kampanii 1946 — 1947 pojawia się przejściowo na rynku duża ilość cukru, na skutek rzucenia na ten rynek tzw. cukru plantatorskiego. Było to oczywiście zjawiskiem chwilowym, jednakże elementy spekulacyjne pragnęły wykorzystać chwilową koniunkturę i niedopuszczając do obniżki ceny detalicznej działały na szkodę rolnika wymuszając wykup cukru plantatorskiego po sztucznie obniżonej cenie.

W celu ochrony interesów rolnika do akcji skupu cukru plantatorskiego przystąpiło „Społem". Oczywiście „Społem" nie pragnęło wykorzystać koniunktury i nabyć cukier po cenach niższych, lecz przeciwnie — wykupując cukier po cenach normalnych, wpłynęło na to, że plantatorzy wstrzymali się z odbiorem cukru z cukrowni, mając zapewniony zakup przez „Społem". Dzięki temu nienormalne i chwilowe zjawisko nadmiernej podaży cukru zostało rozłożone równomiernie na szereg najbliższych miesięcy.

Z perspektywy trzech miesięcy możemy stwierdzić, że akcja interwencyjna „Społem" była akcją udaną, że „Społem" stanęło w obronie interesów rolnika, nie dopuszczając do jego wyzysku przez prywatnych spekulantów, jak również interesów konsumenta — rozkładając nadmierną chwilowo podaż cukru na szereg miesięcy i przyczyniając się tym samym do stabilizacji rynku cukrowego.

W.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa, Smolna 12

TRZECI KONKURS „TYGODNIA"

NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

Jako nagrody Redakcja przeznacza: 30 nagród książkowych,
20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania, przyznane będą 3 punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

W następnym numerze ogłosimy

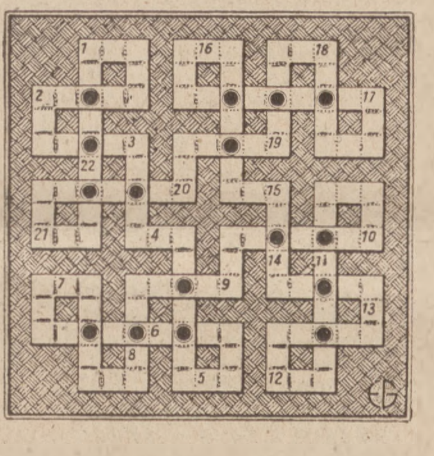
KONKURS

autorski na rozrywki umysłowe

FANTAZJA KRZYŻÓWKOWA

W powyższą figurę wpisać kolejno 22 wyrazy o podanym znaczeniu, których końcowe głoski są początkowymi następnych wyrazów. Wspólne głoski krzyżujących się wyrazów, czytane w odpowiedni sposób, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto w Polsce. 2) Znany szachista rosyjski. 3) Napad zbrojny. 4) Rzecz upragniona. 5) Guz, pęcherz. 6) Część mowy. 7) Wysoki urzędnik w dawnej Polsce. 8) Związek organiczny trujący. 9) Przedpłacicielka. 10) Odstępca. 11) Mieszkaniec Adenu. 12) Bohater powstania Kościuszkowskiego. 13) Utwór Krasińskiego. 14) Sprężyna, działacz. 15) Odbarzeni pochwałą, odznaczeni. 16) Klasa społeczna. 17) Dążenia do celu. 18) Żywioł, pierwotna materia. 19) Rodzaj surduta męskiego. 20) Miasto nad Wołgą. 21) Minerał. 22) Znana przed wojną fabryka giętych mebli w Polsce.





Erazm Grójnacki

CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagroda 150 zł została podzielona: 75 zł otrzymał p. Wincenty Czernecki (Kraków, ul. Prażmowskiego 18A) za nadesłanie wycinka z „Życia Sportowego" i 75 zł p. Elżbieta Zarembianka (Łomża, ul. Polonia 30 m. 2) za wycinek z „Wieczoru Warszawy".

WALKA DŻENTELMEŃSKA

Cóż z tego, że reprezentacja bokserska Warszawy bije wiedeńską lub berlińską, skoro jednocześnie dziennikarze stołeczni bałamucą ludzi, opiewając: „trafne, fangę w czoło lub odpuszczenie byka w żołądek"? Skąd prości ludzie mają wiedzieć, jak prawdziwa dżentelmeńska walka ma wyglądać? Dlaczego nie opisuje się im należycie walki na pięści? Za granicą jest inaczej. Gdy bokser plasuje przeciwnikowi sierpowy na szczęce, to moment ten jest tak po boksersku, fachowo i smacznie opisany, że po prostu ślinka do ust napływa. Ale chcąc tak pisać o sporcie, trzeba się na nim choć trochę znać... Panowie literaci! W szczękę go, w plexus solaris, w żołądek czyli, jak przedmieścia mówią, w bufet, w szyję go... („Życie Sportowe" Nr 1/14).

Autorem tych instrukcyj dla literatów jest dr St. Mielech. Panie doktorze! Sadysta z pana. Ślinka panu do ust cieknie. A tam krew żywa z nosów się leje, żeby koszami wynoszą.

PRZERÓBKA CZEKOLADY

Biuro Informacji Gospodarczej przy Min. Aprowizacji i Handlu rozesłało komunikat o transporcie czekolady, która w czasie transportu morzem uległa zepsuciu, nie może być rozdzielona wśród ludności i wskutek tego zostanie przerobiona. Komunikat nie podaje jednak, na co zostanie przerobiona.

(„Wieczór Warszawy" Nr 38):

Na co? Czekoladę przerabia się, jak wiadomo, na jej części składowe: kakao, cukier, korzenie i mleko. Gdy z przyczyn technicznych (brak odpowiednich maszyn), nie da się tego uskutecznić, czekoladę można przerobić na pastę do obuwia: wystarczy ją tylko proporcjonalnie rozmiękczyć terpentyną i nałożyć do okrągłych pudelek z napisem „Robot". Najprościej jednak przerobić czekoladę pod względem ceny: zamiast wydawać na kartki, puścić ją na wolny rynek.

NOWE KSIĄŻKI

Henryk Jabłoński. Opinia — Parlament — Prasa. Wstęp do badań roli opinii publicznej w epoce rozkwitu kapitalizmu. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1947. Str. 359 i 3 nl. i 1 tabl.

Wiktor Krzyżanowski. O polskości Śląska. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1947. Str. 66 i 2 nl.

Wanda Wasilewska. Ojczyzna. Powieść. Wydanie nowe. „Książka" 1947. Str. 275 i 1 nl.

Anna Świrszczyńska. Arkona, gród Świętowita. Z dziejów słowiańskiej Rugii czyli Rany. Powieść dla starszej młodzieży. Spółdz. Wyd. „Książka" 1946. Str. 233 i 3 nl.

Dawne dobre czasy. Wybrał i wstępem zaopatrzył **Adam Polewka**. Spółdz. Wyd. „Książka". 1947.

Adolf Rudnicki. Profile i drobiazgi żołnierskie. Wydanie drugie. „Książka" 196. Str. 151 i 1 nl.

Adolf Rudnicki. Wielkanoc. „Książka". 1947. Str. 47 i 1 nl.

Adolf Rudnicki. Uśmiech żandarma. „Książka". 1946. Str. 23 i 1 nl. Ilustrował Władysław Daszewski.

Adolf Rudnicki. Wrzesień. „Książka". 1946. Str. 67 i 1 nl.

Adolf Rudnicki. Józefów. „Książka". 196. Str. 16.

Upton Sinclair. Nafta. T. I i II. Z upoważnienia autora przełożyła Antonina Sokolicz. „Książka". 1946. Str. 322 i 2 nl.

Zofia Nałkowska. Medaliony. Spółdz. Wyd. „Czytelnik". 1946. Str. 87 i 3 nl.

Ksawery Pruszyński. Trzynaście opowieści. Spółdz. Wyd. „Czytelnik". 1946. Str. 326 i 4 nl.

Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI

ZMARTWIENIE Z KREDENSEM

Moja kochana!

Mówię ci, że najgorzej, jak się chce być w porządku. Dzisiaj nikt tego nie umie ocenić.

Opowiem ci, jaka przykrość mi się zdarzyła w związku z tym, że już się odkupuje te meble poniemieckie. A to nie takie łatwe, jakby się mogło wydawać. Zaraz po wojnie te sprawy załatwiało się bardzo prosto i jeżeli tylko ktoś miał głowę na karku, to już nie był pokrzywdzony. Pamiętam te czasy, kiedyśmy się sprowadzili do Łodzi. Po prostu likwidowało się mienie poniemieckie na własną rękę. W ten sposób obowiązki obywatelskie łączyło się z obowiązkami względem własnej osoby.

Ponieważ jestem systematyczna, operowałam ulicami po kolei. Naprzykład jednego dnia Wólczańska. Przywiozłam wtedy cztery elektroluksy, dwa kaktusy, komplet widelczyków do raków, trzy umywalki i fortepian. Na razie najpotrzebniejsze rzeczy. Nazajutrz urządziłam obchód ulicy Bandurskiego. Zdobyłam znów fortepian, cztery szczotki do podłogi, wypchaną papugę i dwie maszyny do pisania.

W ten sposób po dwóch tygodniach miałam załatwioną jedną dzielnicę Łodzi i byłam jako tako umeblowana, tylko z fortepianami miałam kłopot, bo w żaden sposób nie chciały się pomieścić, więc postawiliśmy je jeden na drugim. Niestety nie wszystkie zdobycze były tak udane. Na przykład bielizna była częściowo nie do użytku, bo Niemki bardzo dużo haftują. Więc ręcznik miał napis „Gut Morgen", serwetki „Mahlzeit", męska dolna bielizna „Deutschland ueber alles", a damska — „Nur für Deutsche".

Ale te drobne straty były niczym w porównaniu z kłopotami, które się ma teraz. Meble, które sobie skompletowałam, nie bardzo do siebie pasują, bo nie ja jedna wpadłam na ten pomysł, żeby sobie umeblować mieszkanie. Chodziły wtedy całe grupy na tę likwidację mienia. Takie grupy operacyjne na mieszkania wyzwolone. Więc rad nie rad człowiek brał, co popadło. Z tego wszystkiego w stołowym mam mahoniowy kredens ze złotymi okuciami, orzechowy stół na dwadzieścia cztery osoby, czeczotową szafkę z firaneczkami w płaszki i krzesła z jasnego dębu.

Postanowiłam więc teraz skorzystać z okazji, że te meble można już kupować i sprzedawać i umeblować się porządnie. Kalicińscy właśnie mi mówili, że chcą sprzedać kredens, który doskonale pasuje do mojego stołu. Tylko nie wiedzieli, jakie teraz są ceny mebli. Widziałam na wystawie u stolarza identyczny kredens, więc posłałam tam Kalicińskich, żeby ten stolarz im powiedział, ile to jest teraz warte. Przedtem, oczywiście, pobiegłam do tego samego stolarza i powiedziałam: „Przyjdzie tu do pana małżeństwo: ona wysoka i tęga, a on niski i chudy — i będą się pytali, jaka jest cena takiego kredensu. Niech pan im powie zamiast dwudziestu — dziesięć tysięcy, ja od nich kupię, a pan sobie przy tym zarobi".



...stolarz ich zwymyślał i opowiedział całą historię.

Tak mu powiedziałam, bo przecież opłaci mi się dać nawet parę tysięcy, jeżeli za kredens zapłacę o dziesięć tysięcy mniej.

I wyobraź sobie, że przyszło do niego takie małżeństwo: ona wysoka i tęga, a on niski i chudy, spytali, ile taki kredens kosztuje i stolarz powiedział im, że dziesięć tysięcy, tak jak się ze mną umówił. Okazało się, że to wcale nie byli Kalicińscy, tylko jacyś obcy ludzie, którzy chcieli kupić ten kredens od stolarza i on musiał im go sprzedać za połowę ceny! Potem przyszli już prawdziwi Kalicińscy, ale stolarz ich zwymyślał i opowiedział im całą historię.

Teraz stolarz się do mnie przyczepił, żebym mu dopłaciła to, co przeze mnie stracił, a Kalicińscy mnie obszczekali przed całym miastem.

Tak się wygląda, kiedy się chce uczciwie coś kupić. Ładne teraz są porządki, nie ma co.

Pozdrawiam Cię

Twoja Alicja

JAK ROZWIĄZAĆ KWESTIĘ NIEMIECKĄ

Projekt Juliana Żebrowskiego



Trzeba Niemcom dać swobodę ruchów...



Czasami wznowić hitlerowskie pozdrowienie...



Głodnych nakarmić...



I Niemcy uzbroić... w cierpliwość.



Nagich przyodziać...



— Wycofuję się z interesów!
— Tyle razy już pan to mówił.
— Tak, ale tym razem powiedział mi to sędzia śledczy.

(„Cavalcade" — Paryż)

Prosimy o odnowienie prenumeraty na miesiąc marzec

TYDZIEŃ

W następnym numerze: Aleksander Janta Połczyński — Kłamałem, aby żyć ● Jan Huszcza — Wysoko postawiona osoba ● Eugeniusz Żytomirski — W cieniu drapaczy chmur ● U poetów: Wiersze Mariana Piechala.